№ 36. Warszawa, dnia 27 Sierpnia (8 Września) 1877 roku.



I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH.

PRENUMERATA WYNOSI:

W WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80. -Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie. kwartalnie rs. 2 kop. 50. Numer pojedynczy kop. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwart. złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWCZA, w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

STUDYA Z LITERATURY POLSKIEJ

przez **L. S. W.**

Sebastyan Fabian Klonowicz.

Drogi i zawady przystępne dla nieszlachty w dawnej Polsce. Życiorys Klonowicza. Wpływy zewnętrzne na twórczość poetycką Klonowicza: swojskość i satyryczność jego poezyi. Ogólne zalety i wady utworów Klonowicza. Rozbiór poematu Flis. Rozbiór Worka Judaszowego. Roxolania. Victoria Deorum. (Zwycięztwo Bogów). Pomniejsze i podrzędne utwory polskie i łacińskie Klonowicza.

II.

(Dokończenie).

Teraz wypada nam powiedzieć o największym utworze Klonowicza — o olbrzymim poemacie łacińskim Victoria Deorum (Zwycięztwo Bogów), który zestawiliśmy z poematem satyrycznym polskim „Worek Judaszów“ chociaż „Zwycięztwo Bogów“ przewyższa go nieskończenie i rozmiarami i założeniem. Utwór ten, według notatki jednego z uczonych XVIII wieku, opracowywał Klonowicz całe lat 20. Drukowany był raz tylko jeden, bez podania miejsca i roku — prawdopodobnie około r. 1606 w Krakowie, a może i w Rakowie (województwo sandomierskie), gdzie wówczas posiadali słynną drukarnię aryanie polscy — najskrajniejsza i najbardziej—nawet przez protestantów, pogardzana sekta dysydencka. Powodem takiego ukrywania się była treść poematu, który jest ostrą satyrą przeciwko nadużyciom duchowieństwa i szlachty, a nawet za główne założenie ma wykazanie niedorzeczności i bezzasadności przywilejów szlacheckich, na których opierał się cały ustrój Rzeczypospolitej. Dla tego to dzieło Klonowicza zostało zakazanem i przez duchowieństwo na indexie czyli w wykazie dzieł zabronionych pomieszczonem, nie zaś, jak mniemali niektórzy (choć to było może pozorem) dla tytułu, w którym poeta wymienia „bogów“ w liczbie mnogiej, ani dla dziwacznego pomieszania przykładów i świadectw mitologicznych z biblijnemi, gdyż było to modą literacką, której hołdowali w swych utworach sami księża i biskupi. Z powodów wyżej wymienionych „Zwycięztwo Bogów“ jest obecnie niezmierną rzadkością bibliograficzną. Polski przekład tego poematu dotychczas nie istnieje: znany niestrudzony tłomacz utworów greckich i łacińskich Jacek Przybylski, profesor uniwersytetu wileńskiego, rozpoczął przed laty kilkudziesięciu tłomaczenie, ale nie doprowadził go do końca i praca jego dotychczas w rękopiśmie spoczywa.

Zwycięztwo Bogów składa się aż z 44 ogromnych pieśni. Tytuł wzięty z podania mitologicznego o walce bogów greckich z tytanami, które znajduje się wprawdzie w jednej ze środkowych pieśni poematu (czego bo też tam nie ma!), ale zawsze tytuł to niestosowny: właściwie wypadałoby dać poematowi inny — „O prawdziwem szlachectwie.“

Kraszewski tak mówi o tym poemacie: „nie można go, bez wyraźnej szkody, pominąć, pisząc o literaturze naszej, o dziejach opinii u nas, o historyi obyczajów, do której mnogie rysy zawiera ta sturamienna satyra, głową w starożytnych niebiosach Grecyi i Rzymu, nogami — na naszej ziemi stojąca, odbijająca naprzemian to obrazki poetycznego świata zmarłego, to żywe życie swojego wieku. Nazwać musimy Victoria Deorum poematem, dla formy jego materyalnej, dla wiersza, w który się ubrał (łacina czysta i wiersz wyborny); co do planu autora i budowy nie ma tu nic poematowi właściwego: jest to raczej wielki traktat moralny podzielony na rozdziały, cały w argumentach i dowodzeniach. Sztuka i poezya tyle tu wpłynęły, ile było potrzeba do ukwiecenia materyi suchej, do upoetyzowania i połączenia szczegółów i przykładów, w niezmiernej liczbie zestawionych.

Nie jest to właściwie poemat, coby mówił do serca, do uczucia, do imaginacyi, coby był pomnikiem sztuki, wynikłością zapału i natchnienia: jest to raczej traktat do rozumu i przekonania, z namysłem, rozwagą zimną i misternym planem dokonany. Zepsucie obyczajów ówczesne, jak sam autor pisze, skłoniło go do tej potężnej przeciwko niemu filipiki wierszowanej.“

Prawdziwe szlachectwo dają tylko *cnota* i *praca*, nie zaś ród, bogactwa, odwaga i zuchwalstwo. Oto zasadnicza, w XVII wieku nowa i zuchwała myśl całego poematu, którą sam Klonowicz w przedmowie do dzieła tak wyraża: „potrzeba się dobrze urodzić, żyć dobrze i dobrze umrzeć; ten jest dobrze urodzony, kto dobrze żyje; żyje zaś dobrze ten, kto dobrze umiera.“

Szlachectwo, w zwykłem tego wyrazu znaczeniu, takie, jakie było w Polsce, jest, według Klonowicza, przesądem. Nadużycie tytułu i praw szlachectwa zmusza go walczyć przeciwko tej instytucyi; sam nie będąc szlachcicem, rzuca myśl radykalnej reformy socyalnej. Biedny mieszczanin lubelski, chciał zreformować Polskę swoim wierszowanym traktatem w 44 pieśniach i dobił się tylko prześladowania i zapomnienia.

Niepodobna prawie podać w krótkości rozbioru, ani nawet streszczenia tej nieco chaotycznej wierszowanej encyklopedyi, do której weszły uwagi, dowodzenia, przykłady, fakta i wiadomości ze wszystkich czasów i narodów, z dziedziny zmyśleń i z historyi nakoniec ze wszystkich prawie gałęzi nauk. Hołdując w tem swojem arcydziele wytkniętym przez nas powyżej wadom w stopniu najwyższym, poeta rzuca się i przenika wszędzie i wyciąga to wszystko, co tylko z głównem jego założeniem zostaje w związku blizkim, dalszym, a nawet zupełnie dalekim. Ponieważ jednak „Zwycięztwo Bogów“ jest dziełem tak niezmiernie rzadkiem u nas zupełnie nieznanem, poświęcimy więc mu kilka słów, jak najkrótszych.

Na początku (pieśń I) poeta dzieli wszystkich lu-

dzi na dwie klasy: synów Jowiszowych — mądrych, sprawiedliwych i odważnych — i synów Neptunowych — dzikich, nieludzkich i złych. Dalej (pieśń II) mówi o szlachectwie prawdziwem i fałszywem, opierając pierwsze jedynie na cnocie i pracy. Dowodzi jednak dalej (pieśń III) potrzeby szlachty — ludzi rządzących i przodkujących i popiera tę potrzebę niezliczonemi przykładami z mitologii, z dziejów i nawet ze świata zwierzęcego. Następuje długa pochwała cnoty, sztuk wyzwolonych, które są pomocnicami szlachectwa, wreszcie — cnót rycerskich i pochwały śmierci — wszystko poparte mnóstwem przykładów z biblii i z historyi (pieśń IV). W pieśni V, VI, VII, VIII, IX, X, XI, poeta dowodzi, że wielcy i zasłużeni bohaterowie częstokroć pochodzili z rodu nizkiego i nagromadza tu wszelkie możliwe przykłady, dziwacznie mieszając bajecznych mitologicznych bohaterów i półbogów z postaciami historyi świętej i dziejowemi — od Herkulesa, Achillesa, Eneasza, Abrahama, Saula, Dawida, aż do polskich Leszków i Piastów. W pieśni XIII wykazuje autor że odwrotnie, z wielkich i sławnych rodziców pochodziły często dzieci nikczemne i niedołężne; idą więc znowu nieskończone szeregi przykładów, jak wyrodzenie się i znikczemnienie całego narodu żydowskiego i rzęd bajecznych i dziejowych postaci jak Wulkan, Sardanapal, Xerxes i t. p. Wszystko to zapełnia następujące pieśni XIV i XV. W pieśni XVI mówi autor o upadku całych familii i państw, sięga wieży Babel, opowiada dzieje upadku Troi, monarchii asyryjskiej, Grecyi, Kartaginy i Rzymu. Wszystko to kończy się dopiero z pieśnią XVII. W następnej pieśni XVIII niezmordowany autor zbija zwykły pogląd o dziedziczności cnót wyrażony w przysłowiu „niedaleko jabłko pada od jabłoni“ co wprowadza go w świat roślinny i zwierzęcy: prawi więc szeroko o wyradzaniu się drzew owocowych i potomstwa zwierzęcego, jak o mułach i t. p. a że przyczyną upadku i wyrodzenia się ludzi najczęściej bywa zepsucie obyczajów, podejmuje więc poeta ten przedmiot (pieśń XIX) dowodzi. że ludzie pod tym względem są gorsi od wszystkich zwierząt, piorunuje przeciwko kobietom (tu wykazuje się wyraźnie, że sam Klonowicz miał złą żonę, wpada wnet w mitologią i starożytność grecką, atakuje nawet uznane za cnotliwe postacie bogini Junony i Penelopy i przytacza znane wzory złych kobiet. Przy tej sposobności mówi też o karmieniu dzieci i o mamkach, surowo naganiając zaniedbanie przez matki obowiązku karmienia niemowląt. Pieśń XX najciekawsza może pod względem obyczajowym, choć tu mitologia i starożytność grecko-rzymska dziwnie są splątane z rysami i obrazami krajowemi, zajmuje się szkodliwym wpływem moralnym mamek i nianiek na dzieci, niemniej szkodliwością zbytków, rozpusty, biesiad i żarłoctwa, które do różnych chorób prowadzą. Poeta nie zaniedbał wyliczyć i opisać te choroby a nawet mówi o ich kuracyi i historyi. W pieśniach XXII i XXIII autor ostrożnie zastrzega że nie gardzi całkowicie szlachectwem, lecz uznaje jego potrzebę i następnie wpada w opowieść o Eneaszu, Ulyssesie i t. p. W pieśni XXIV opisuje tarcze bohaterów Iliady, a potem raptem wpada na księży i szeroko prawi o ich nadużyciach: tu właśnie trzeba szukać głównego powodu potępienia poematu przez duchowieństwo. W pieśni XXV walczy poeta przeciwko kupnemu szlachectwu, a w XXVI i XXVII dowodzi szeroko i niezliczonemi przykładami stwierdza, że bogactwa szlachectwa nie dają. W pieśni XXVIII, jednej z najbardziej uwagi godnych, poeta mówi o ucisku słabszych i uboższych przez możnych, a mianowicie o ucisku włościan, który maluje szczegółowo, przeprowadzając przez wszystkie pory roku, przez wszystkie prace, zajęcia i klęski i t. p. W pieśni XXIX wpada poeta na zajęcia panów i ich wady: prawi razem o pijaństwie i obżarstwie i o naukach jak matematyce i t. p. zaczepia o Archimedesa, to znowu prawi o myśliwstwie. W pieśni XXX mówi o zajęciach godnych szlachcica, o rzemiośle rycerskiem, a w dalszych XXXI, XXXII, XXXIII, uzasadnia pogardę bogactw, gani niewłaściwe ich używanie (sypiąc przytem mnóstwo przykładów) i uczy, jak używać bogactw należy. W pieśni XXXIV mówi o zbytkach i zepsuciu dworskiem — szlachty na dworach królów i wielkich panów. W pieśni XXXV mówi o pokarmach, sięgając aż złotego wieku, opisuje młyny, mówi o chlebie i t. p., a w XXXVI o odzieży; w obu nagromadzona dziwna erudycya autora, tycząca się żywności i odzieży u wszystkich narodów i we wszystkich czasach. W pieśni XXXVII mowa o mieszkaniach i domach, zawsze z historyczną erudycyą, a przy tem także nawiasowo o małżeństwie, przyjaźni i wielu innych rzeczach.

Zakończywszy opis obyczajów i dostatków, poeta w pieśni XXXVIII obszernie wywodzi co to jest prawdziwa swoboda, a co swawola (nie pomijając przy tem zmysłów, ruchów ciała, mowy i t. p. Aluzye do szlachty polskiej są tu widoczne. W pieśni XXXIX opowiada poeta o nowej walce tytanów z bogami, od której wziął tytuł poematu: tytani są dla niego przedstawicielami zuchwalstwa i pychy i niewątpliwie uosobieniem magnatów polskich. W pieśni XL poeta zapuszcza się w baśni greckie o gigantach i cyklopach, dowodzi przy tem że te potwory rzeczywiście istniały i czyni liczne aluzye do zamieszek krajowych — rokoszu Zebrzydowskiego i wzięcia Lublina przez rokoszanów, którego poeta był świadkiem (1606). Występuje zarazem przeciwko turkom i zachęca do wojny z nimi. W pieśni XLI zbija mniemanie tych, którzy piękność ciała widzą tylko u szlachty, a w XLII satyrycznie wytyka braki i usterki w charakterze rozmaitych warstw ludności. Trzy ostatnie pieśni poematu Klonowicz poświęca epilogowi, opisowi tryumfu „bogów“ przeplatając zwrotami do króla Zygmunta III, królewicza Władysława i kanclerza Zamojskiego.

Oprócz tych dwóch par głównych utworów Klonowicza, pozostało nam jeszcze kilka pomniejszych, w ogóle bez wartości. Tu należą w języku polskim: Reguła Św. Benedykta, Pożar, upominanie do gaszenia i wróżki, o upadku mocy tureckiej (przekład jednego ustępu z Victoria Deorum), Pamiętnik książąt i królów polskich (krótkie wierszyki o każdym panującym, bez wartości) i wreszcie 13 żalów czyli trenów na śmierć Jana Kochanowskiego, zmarłego 1583 r., którego Klonowicz, jak się zdaje, osobiście nie znał. Żale te są w ogólności rozwlekłe i słabe; ale jak wszędzie u Klonowicza, tak i tutaj, znajdują się rozrzucone perełki prawdziwej poezyi i miejsca prześliczne jak np. (początek Żalu XI):

> Bluszczu przebujny! Tu przy tej mogile
> cicho wyrastaj, popinaj się mile,
> rozkładaj piękne liście, lubuj sobie
> przy tym tu grobie.
> Powijaj sobą miejsce na wsze strony,
> na którem leży mąż nienaganiony;
> uwij tu, proszę, chłodnik samorosły
> w górę wyniosły.
> A gdy dorościesz, gdy będziesz na dobie,
> nie stój jałowo, zawieszaj po sobie
> wdzięczne bluszczówki, a niechaj gron wszędzie
> obfitość będzie i t. p.

W Żalu XII poeta zwraca się do ducha Kochanowskiego z udatnym dwuwierszem:

> Przetoż, o szczęśliwa duszo, te wiersze na grobie
> przyjmij z wdzięcznością ode mnie, albo wstań, pisz sobie!

W r. 1873 p. Okolski wydał nieznany poemat łaciński Klonowicza, „Gorais“ wysławiający przodków Adama Gorajskiego, któremu dedykował Zwycięztwo Bogów. Z wyjątkiem kilku opisów kraju, przypominających Roxolanią, utwór to słaby, nadęty panegiryk, przeładowany niesmacznemi porównaniami Gorajskich z bohaterami Grecyi i Rzymu. Juszyński i Bentkowski wspominają jeszcze kilka mniejszych utworów łacińskich Klonowicza, ale te nie są znane. Pamięć Acerna wskrzeszono dopiero w naszych czasach: teraz tylko należycie oceniamy tego poetę, często słabego pod względem sztuki i natchnienia, ale wielkiego sercem i pojęciami postępowemi, nad wiek jego wyższemi. Syrokomla uczcił Klonowicza poemacikiem Zgon Acerna, a Towarzystwo Naukowe Poznańskie wystawiło mu w 1856 r. pomnik w rodzinnych Sulmierzycach.

MARYA.

Powieść

przez El. Orzeszkową.

(Dalszy ciąg).

Gdy tak stałyśmy milcząc, ona wsparta na mnie, z suchym ogniem w szeroko roztwartych źrenicach, ja z żalem w sercu, na progu salonu zjawiła się ochmistrzyni i oznajmiła pani swej że, jak codziennie bywało o tej porze, domownicy różni przyszli do niej z rachunkami i po dyspozycye. Kobieta ta tak otaczała się przez całe życie zachodami i zajęciami powszedniemi, że rzeczywistość pochwytuje ją teraz w chwilach najbardziej od niej oddalonych.

Zrazu nie usłyszała głosu ochmistrzyni, gdy jednak ta zbliżyła się i powtórzyła oznajmienie, podniosła ciężką głowę i wymówiła jak przez sen:

— Powiedz im pani... żeby przyszli później!

Kobieta zdziwiona trochę tym niezwykłym rozkazem, uczyniła parę kroków ku drzwiom, gdy Marya zawołała nagle:

— Nie! nie! nie odsyłaj ich pani! idę już, idę!

— Idę! powtórzyła jeszcze obu dłońmi pocierając czoło,które wysoko podniosła i drżącemi rękami rozpinając płaszcz, którego zapięcie przykro znać dolegało ściśnionemu jej gardłu. Szybko potem, bardzo szybko przeszła salon, udając się do sali jadalnej, gdzie odbywała zwykle z domownikami swemi gospodarskie narady i rozporządzenia.

Utrzymanie ładu, dostatku i sprawiedliwości w domu tak ludnym i zamożnym jak jest dom Iwickich, wymaga istotnie niemałych zachodów i starań.

Teraz także, w jadalnej sali znajdowało się kilka osób różnej płci, z których jedne prosiły o sprawdzenie rachunków, inne żądały rozporządzeń na dzień jutrzejszy.

Stanęłam w progu i patrzałam na Maryę gdy i dziś także spełniała codzienne swe obowiązki. Zrazu patrzała ona i odpowiadała machinalnie prawie, jak przez sen, ale po chwili wyraz przytomnej myśli wrócił zupełnie do jej oczu. Siedziała przy stole, nad podanemi jej kilku arkuszami papieru pełnego cyfr. Z ołówkiem w ręku podkreślała i zsumowywała cyfry, zwracając się niekiedy do domowników z zapytaniami i uwagami. Od chwili do chwili tylko czoło jej marszczyło się pod wpływem wysiłku woli z jakim skupiać umiała myśl na przedmiot swego zajęcia, raz także ołówek zadrżał w jej ręku, na rzęsę jej wybiegła łza i spłynąwszy po pochylonej twarzy spadła na papier.

Nikt zapewne łzy tej nie spostrzegł prócz mnie

i p. Michała który w tej samej chwili wszedł do sali drzwiami znajdującemi się naprzeciw miejsca na którem siedziała Marya.

Wszedł, spojrzenie jego, jak zwykle, naprzód znalazło twarz żony i tym razem spoczęło na niej długo i nieruchomie. Czoło jego sfałdowało się nagle w mnóstwie zmarszczek. Było to przecież jedno tylko mgnienie oka. Zbliżył się do żony z twarzą zupełnie już zwyczajną. Tylko spojrzenie jego zdawało się przykutem do wilgotnej plamki spoczywającej na papierze leżącym przed Maryą.

Cały wieczór potem zszedł zupełnie jak zwykle. Pani domu nie poskarżyła się nawet na ból głowy, jak to czynią zwykle kobiety które chcą milczeć i myśleć. Nie milczała też. Owszem rozmawiała z mężem ze mną i z dziećmi, wieloletnie przyzwyczajenia i silna wola, zapanowały nad niepokojem wyjątkowej w jej życiu chwili.

Lecz później... o tem co widziałam, później, nie mogę pisać bez drżenia ręki i serca. Ale ty, Jerzy, powinieneś wiedzieć o wszystkiem, tracę sama głowę i potrzebuję twojej rady.

Kiedy wszyscy spali już w domu a ja niespokojna i smutna cicho leżałam, usłyszałam szelest w sypialni Maryi. Usiadłam na łóżku i przez dwoje drzwi roztwartych, wśród zmroku rozświeconego palącą się lampą nocną, zobaczyłam Maryę jak w białem, rannem ubraniu zarzuconem na ramiona, weszła do swej pracowni. Tu stanęła przed jednem z okien wychodzących na ogród. Podniosłam się nieco na mem siedzeniu i rzuciłam wzrokiem po za ogród, na mieszkanie Strosza. Pomimo bardzo spóźnionej pory w mieszkaniu tem dwa okna były jeszcze oświetlonemi. Jakiż pociąg niezmożony, jakaż rozdzierająca tęsknota, zmuszały Maryę do patrzania na te dwa świetlne punkty, za któremi pracował on albo cierpiał? Przez kilka minut stała ona tam prosta, nieruchoma, wytężonym wzrokiem wpatrzona w szybę, lecz wkrótce wysmukła postać jej pochyliła się i upadła na klęczki.

Splecione ręce oparła o podstawę okna i przycisnęła do nich czoło. Ramiona jej zadrżały płaczem milczącym zrazu. Potem jednak usłyszałam łkania ciche naprzód, bo usilnie tłumione, lecz stopniowo coraz głośniejsze, głębsze, częste, wypierane z piersi wielką przemocą łez i boleści.

Pierwszym popędem moim było zerwać się i biedz do niej. Ale ogarnęła mię nieśmiałość, prawie trwoga.

Kobieta którą bardzo kocham, przebywała tam, w zmroku i ciszy nocnej, straszną i uroczystą chwilę. W postawie upokorzonej, wielkim płaczem witała ona namiętność, tę despotyczną realność życia, która po raz pierwszy, w szkarłacie i ogniu, wstąpiła do piersi jej, pełnej dotąd uczuć idealnych i przeczystego spokoju. Cóż mogłam powiedzieć jej? czem wesprzeć? jak pocieszyć? Czy i tak już nie powiedziałam za wiele, nie przyśpieszyłam tej chwili cierpienia i płaczu? Albo zresztą pewną jestem co jej doradzać, na jaką stronę usiłować zwrócić szalę zwycięztwa? Jestem może wielką grzesznicą, Jerzy, ale ty wiesz o tem że sąd mój przechyla się zawsze na stronę miłości, ile razy szczególnie zjawia mi się ona, w postaci dwojga ludzi tak młodych sercem a tak dojrzałych rozumem, tak godnych szczęścia i tak wielkie szczęście dać sobie mogących jak ci ludzie, tobie i mnie tak znani i drodzy! Z innej strony, mamże prawo, najlżejszem choćby dotknięciem, popychać delikatne i zarazem surowe sumienie Maryi, w ulubioną moją stronę?

Piszę to o bardzo rannej porze w pracowni Maryi, przy jej biórku stojącem u okna za którem widzę mieszkanie Adama, na które w tej chwili właśnie pada różowy blask wschodzącego słońca. Idąc tu przechodziłam przez sypialnię Maryi i przypatrywałam się jej, uśpionej. Początek snu jej trudny snać był i niespokojny, bo okrycie poduszek zmięte jest i okryte włosami jej splątanemi w nieładzie. Ale na tych splątanych włosach twarz jej spoczywa blada i ze śladami łez na powiekach lecz spokojna. Spokojny też oddech porusza jej piersią i na ustach przewija się łagodny uśmiech. Jestem pewna że śni ona o dzieciach swych. Ten sam promień słoneczny który barwi okna Adama, wnikając do pokoju z za uchylonej sztory opasał czoło jej różowym rąbkiem...

Jerzy, młodsza od niej o lat parę, lecz tysiąc razy doświadczeńsza w burzach i namiętnościach serca, bezdzietna jeszcze i więcej do marzeń i uniesień niż do surowych myśli skłonna, ja czuję się nieśmiałą w obec dziewiczej niewinności tej dojrzałej kobiety, w obec tej powagi dobrowolnie przyjętego macierzyństwa, w obec tego życia palącego się dotąd jak kadzidło przed ołtarzem nieskazitelnej cnoty!

Ja nie mogę obojętnie patrzeć i milczeć a nie wiem co mam mówić i czynić! Pragnę też wracać do ciebie a nie mogę jej opuścić! Napisz do mnie jak najprędzej i daj mi radę, którą spełnię ślepo, bo sama zdolna jestem tylko kochać i cierpieć z tymi których kocham.

Klementyna.

LIST XVII.

Jerzy do Klementyny.

Warszawa, d. 3 Marca.

W liście twoim, moja najdroższa Klemensiu, poznaję całą ciebie: żywą wyobraźnię twoją i łatwo wzruszające się serce, na które nie mam prawa skarżyć się bo mię uszczęśliwiają, ale których nie dość dla rozstrzygania spraw ważnych i składowych. Położenie w jakiem stanęli względem siebie Marya i Adam, jest niewątpliwie jedną ze spraw takich. Ty, jako kobieta, pomimo wykształcenia i szczerej prawości które posiadasz, aż nadto skłonną jesteś do widzenia jednej tylko jej strony. Ale to co wam kobietom najpospoliciej ukazuje się z za mgły i niewyraźnie, dla nas mężczyzn, jawnem jest i jasnem, poważnem i ważnem. Ze sprawami podobnemi igrać nie można, bo rozstrzyga się w nich nietylko kwestya szczęścia dwojga ludzi ale wiele innych kwestyi. Pomówimy o tem obszernie gdy wrócisz do domu. Wracaj zaś prędko. Matka cię wzywa i mnie źle bez ciebie. Z tem co się dzieje w Ongrodzie, ty, droga moja iskierko, nie poradzisz sobie a możesz tylko popełnić jakąś niebaczność jak to już parę razy uczyniłaś. Serca i sumienia ludzi dojrzałych najlepiej pozostawiać własnym ich siłom.

Jerzy.

LIST XVIII.

Klementyna do Jerzego.

Ongród, 10 Marca.

Wracam już, ukochany mój Jerzy, wracam do ciebie, do matki i do domu! Za parę dni wyjadę ztąd. Piszę dla tego abyś przyjechał po mnie na stacyę kolei.

Piszę jeszcze i dla tego abyś dniem wprzódy dowiedział się o wielkiej i dziwnej trochę nowinie. P. Adam od dwunastu dni nie był u Iwickich. Widocznie postanowił sobie albo wcale u nich nie bywać, albo bywać jak najrzadziej. Odwiedzał przez ten czas kilka razy chorych znajdujących się w oficynie, ale na górne piętro domu nie przyszedł. Marya też zdaje się nie oczekiwać go wcale. Od burzliwego dnia który ci opisałam, nie zamieniłyśmy z sobą ani jednego wyrazu o palącym przedmiocie. Lękam się popełnić znowu jaką, według wyrażenia się twego, niebaczność. Pozornie przynajmniej w Maryi żadna nie zaszła zmiana. Jest zupełnie taką jak była, mniej wesołą może ale również czynną i dla otaczających dobrą. Wyraźnego smutku ani walki nie znać w powierzchowności jej ani obejściu. Czasem tylko siedzi przez chwilę nieruchoma, szklistym wzrokiem patrząc przed siebie a potem wstrząsa się nagle jakby gwałtem wyrywała się z ogarniającego ją snu. Zdarza się to jednak bardzo rzadko. Często w zamian słyszę że długo w noc nie śpi. Odgaduję to tylko z rzadkich szelestów odzywających się w jej sypialni, bo zresztą spoczywa ona na łóżku swem zupełnie cicho, bez targań się ni płaczu, ale w jakiem zamyśleniu pogrążona? Któż to odgadnie? Zdaje się, że po pierwszym burzliwym wybuchu, odbywa się w niej wielka i trudna robota stanowczego wyrzekania się. Jestem pewna że myśl o podniesieniu buntu przeciw dotychczasowym węzłom i obowiązkom, nie przeszła jej jeszcze przez głowę, że całem cierpieniem jej jest dotąd wielka tęsknota i uczucie konieczności zupełnego wyrzeczenia się. Czy zawsze tak będzie?

Wczoraj siedziałyśmy obok siebie w salonie, przy zapadającym zmroku. Marya trzymała przy sobie Franusia i prowadziła z nim jedną z tych długich, łagodnych rozmów, które tak skutecznie rozwijają przytłumione władze umysłowe tego dziecka. Stopniowo jednak, im większy mrok napełniał pokój tem głos jej stawał się cichszym i z większą trudnością wydobywającym się z jej piersi. Odzywała się coraz rzadziej, potem, pocałowała czoło dziecka i umilkła zupełnie. Siedziała do okna profilem. Za oknem padał drobny deszcz wiosenny i w szarej mgle rysowały się nagie jeszcze skielety drzew ogrodowych. Marya oparła twarz na poręczy fotelu i patrzała na płaczącą wierzbę której zwisłemi w dół gałęźmi zwolna kołysał wiatr. Oczy jej były okropnie smutne. Trwało tak dość długo.

Wstałam, zbliżyłam się do niej i milcząc ucałowałam ją w czoło i w te takie strasznie smutne jej oczy. Oddała mi pocałunek mój w milczeniu i jakby obudzona wstała zaraz, kazała podawać światło i przez cały wieczór była znowu taką jak dawniej, jak zwykle.

Od kilku dni, to jest od czasu jak przekonałam się że p. Adama nie zobaczę już w domu Maryi, myślałam nad tem w jaki sposób będę mogła go pożegnać. Odjeżdżać ztąd bez pożegnania dawnego znajomego mego a twego najlepszego przyjaciela i niewypadało i byłoby mi przykro. Zdawało mi się znowu, że wzywając go w tym celu do domu Maryi popełniłabym i niedelikatność i może nową *niebaczność*. Namyśliwszy się więc poszłam dziś z rana sama do jego mieszkania. U lekarzy przecież wszystkim bywać wolno. Trafiłam właśnie w godzinę w której przyjmuje on chorych. W przedpokoju znalazłam tłum ludzi różnej płci i różnego wyglądania i ubogiego i zamożnego. Posłałam mu moją kartkę wizytową. Przyjął mię naturalnie zaraz. Gabinet jego czy pracownia w której też chorych przyjmuje, jest wielkim pokojem napełnionym książkami, papierami i najrozmaitszemi narzędziami i przyrządami lekarskiemi. Spotkał mię we drzwiach i bardzo przyjaźnie powitał. Spodziewałam się znaleźć go więcej zmienionym. Wyobraźnia moja przedstawia mi zawsze ludzi zostających w jego położeniu bardzo bladymi i z bardzo wyraźnem piętnem cierpienia na twarzy. Bladym jest on zawsze bo już taką ma cerę, ale bledszym niż wprzódy nie znalazłam go wcale.

W wyrazie jego twarzy znać było, że tylko co oderwał się od zajęć które go całkiem pochłaniały.

Powiedziałam mu że odjeżdżam i przyszłam go pożegnać. Podziękował mi serdecznie i wspomniał o tobie.

— Bardzo już dawno nie pisałem do Jerzego, rzekł, musi on trochę gniewać się na mnie za to.

Uśmiechnął się tym właściwym sobie uśmiechem, który poważną i zimną twarz jego oświetla na mgnienie oka wyrazem miękkiej słodyczy.

— Wierzę w przyjaźń Jerzego jak w niczyją na świecie, dodał, chciej mu pani powiedzieć, że jest on jedynym człowiekiem, w obec którego nie wstydziłbym się nawet zapłakać.

Kiedy wymawiał ostatni wyraz oczy jego, chłodne dotąd błysnęły. Widać uczuł w piersi nagłe ukłucie bólu.

Nie chcąc aby tylu ludzi przeze mnie czekało na widzenie się z nim, zaczęłam go żegnać. Ściskając moją rękę, rzekł z trochą wahania się w głosie.

— Pani Iwicka z przykrością musi rozstawać się z panią.

— Tak! odpowiedziałam, ja i Marya jesteśmy szczeremi, prawdziwemi przyjaciółkami ale życie jej jest tak pełnem różnych uczuć, zajęć i obowiązków że...

— Że jest ona zupełnie szczęśliwą, dokończył p. Adam.

Powieki jego opadły w dół i na czole zjawiły się znowu dwie podłużne, głębokie zmarszczki. Stał chwilę milcząc, potem dokończył ciszej i zwolna.

— Jest to święte szczęście dla którego każdy uczciwy człowiek musi mieć cześć głęboką. Oby trwać mogło zawsze!

Czy ty rozumiesz słowa te Jerzy? Ja z nich odgadłam, że Adam pracuje nad tem samem co wypracować w sobie postanowiła Marya. Jacy oni silni, mój drogi! Ja nie potrafiłabym być taką. Czy oni zawsze potrafią?

Po powrocie od pana Adama powiedziałam Maryi że pojutrze odjeżdżam do domu.

— Tak prędko! zawołała zrazu i z żalem ale potem dodała:

— Jedź, moja Klemensiu, matka i mąż oczekują pewno niecierpliwie twego powrotu. Powinnaś być z nimi.

A kiedy patrzałam na nią smutnie i łzy kręciły mi się w oczach, uścisnęła mię i rzekła.

— Wiem co w tej chwili myślisz, ale bądź spokojną o mnie.

Każdy z nas ludzi, miewać musi chwile w których ciemniej mu trochę na ziemi niż zwykle. Ale droga życia raz na zawsze wytknięta roztacza przed nami szlak swój widny i równy, u kresu drogi, jasny i wyraźny stoi ideał któryśmy sobie za cel życia wybrali, i to rzecz najważniejsza. Mniejsza oto jeżeli skończywszy podróż, legniemy kiedyś z jednym więcej lub jednym mniej bólem na dnie piersi, z jedną więcej lub mniej cząstką szczęścia we wspomnieniach.

Masz słuszność, Jerzy, serca i sumienia ludzi dojrzałych trzeba zostawiać własnym ich siłom.

Klementyna.

(*d. c. n*).

MASZKARY.

Obrazek dramatyczny w dwóch odsłonach, z życia ludu wiejskiego ułożony.

OSOBY:

Błażej Grzęda bogaty włościanin w Grocholicach.
Zosia jego córka.
Jan Glinka właściciel dóbr Grocholice i innych.
Pani Glinka jego żona.
Władysław syn ich.
Janek parobek Błażeja.
Kasia dziewka Błażeja.
Marcinowa właścicielka osady rolnej.
Walek syn jej.
Józef Gajda zamożny gospodarz.
Barbara żona jego.
Jacenty Bruzda brat Barbary, kowal z poblizkiego miasta.
Michał syn jego, woźny przy sądzie.

Osoby występujące w obrazach:
Śmieszek. — Nauczyciel. — Wyrostek. — Żyd. — Staruszka. — Parobczak. — Ladaco. — Gromada włościan.

AKT PIERWSZY.

Z lewej strony przód domu Błażeja z wystawką na słupkach i ławeczkami po bokach — ocieniają go gałęzie drzew owocowych. Od wystawki na jedną i drugą stronę ciągnie się płot żerdziowy a za nim pod oknami krzaki piwonii, prosa tureckiego i georginii. W płocie furtka, za nią widać ule, w głębi droga wierzbami skręcająca się ku prawej kulisie. Po prawej stronie z przodu sceny wielka lipa rozłożysta, pod nią ławka z poręczą i stół na grubej podstawie. Przed wystawką leżą na kupie ławki i zydle na nich. Kasia ubrana po wiejsku jak przy robocie, wynosi z domu zydel i kładzie go przy innych.

SCENA I.

Kasia a później Janek.

Kasia (przy fartuchu i z rękawami zakasanemi). Jużem się tyle napracowała że rąk nie czuję — (ogląda się). Nie wiem gdzie Janek? (Ogląda się i później na palcach podsuwa się ku furtce ogrodowej. Przy samej furtce występuje z po za niej Janek ubrany świątecznie).

Janek. A tuś mi, a tuś!

(Kasia przestraszona ucieka z wielkim krzykiem, Janek śmieje się).

Kasia (z udanym gniewem). Takem się przestraszyła...

Janek. Wróble się stracha boją a owies skubią.

Kasia. Wartoby i ciebie skubnąć przez plecy, ale czem twardem, tyle jeszcze roboty...

Janek. Nie przy robocie cię przestraszyłem.

Kasia. Radabym pójść i do kościoła.

Janek (poprawiając ubrania). Ja bo się ze wszystkiem obrządziłem — koniom założyłem siana...

Kasia. Żeby nie te Maszkary, toby łatwiej było...

Janek. Człek narzeka że ręka boli, bo pług sam nie chce chodzić w roli.

Kasia. Trzeba tyla nakrajać placków i sera, natoczyć piwa i wódki...

Janek. Ej! taka robota to się opłaci, tu kapka, tam okruch, tu człek liźnie, tam ukąsi...

Kasia. Najgorsze te ławki (opiera rękę na biodrze) kto to je poustawia?

Janek. Same pójdą, mają przecie nogi.

Kasia (siada na zydlu). Ja tam ani myślę.

Janek (siada na stole). Ha, może się same namyślą, poczekajmy.

Kasia. Ha, to poczekajmy.

Janek. W robocie czekanie na koguta pianie, na nic się nie przyda.

Kasia. To dla czegóż nie chwycisz się roboty, kiedy tak umiesz ze składem gadać?

Janek. Z tobą Kasiu wszystko mi idzie składnie, ale słuchaj (podsuwa się ku niej) dziś u nas Maszkary, to jest o czem pomyśleć. Tu siądzie dziedzic pan Glinka i dziedziczka; tu nasz gospodarz, a tu stawać będą Maszkary i wywodzić swoje sprawy.

Kasia. Czy tylko z naszej wsi się poprzebierają?

Janek. Ale gdzie tam! W karczmie tylko roi się, co tyle narodu z różnych stron nazjeżdżało.

Kasia. Oj! żeby to wolno było wszystko wygadać, jak się myśli... ale co tam, bierzmy się do roboty.

(przenosząc ławki rozmawiają i ustawiają je po drugiej stronie sceny jak w akcie drugim).

Janek. W Maszkarach naszych wszystko wolno; przypieką niejednemu, trzeba będzie co na naszą Zosię wymyśleć.

Kasia. Już tylko jej dajcie pokój — w takiem chowana państwie...

Janek. A! i cóż to znaczy, zawsze córka naszego gospodarza.

Kasia. Tak, to prawda, ale taka jakaś odmienna, że nie mam do niej śmiałości i zawsze ją zwę panienką.

Janek. I ja tak samo moja Kasiu.

Kasia. A widzisz!

Janek. Kiedy trzy dni temu jak przyjechała i zobaczyłem ją na podwórzu, to aż zdjąłem kapelusz i wielmożnowałem.

Kasia. Byłam wtedy w polu.

Janek. Ja, to fracha. Ale nawet gospodarz jej nie poznali.

Kasia. Co ty mówisz?

Janek. A tak, bo jak weszła do izby, zdjął także czapkę, ale Zosia odsunęła zasłonę z oczów i przypadła do nóg ojcowskich.

Kasia (z podziwem). Do nóg!

Janek. A gospodarz jak ją poznał, tak się nachylił nad jej głową i oboje tak się popłakali, że i mnie jakoś zakręciło się w oczach.

Kasia. To tak za Jagosią...

Janek. Już cztery tygodnie jak ją Bóg zabrał, a gospodarz jeszcze w swem zmartwieniu nie może się pomiarkować.

Kasia. Co prawda, u Zosi to wszystko składniej i w mowie i w ubraniu, ale zawsze to nie Jagosia.

Janek. Słyszałem jak dworusy, a to wielkie szpiegi, we stajni gadali, bo oni wszystko muszą wyszpiegować...

Kasia. Oj! ciekawy to naród, ciekawy.

Janek. Że pan Władysław syn naszych państwa Glinków, u których się Zosia chowała, to się z nią pokochał.

Kasia. Co ty mówisz?

Janek. I duchem chce się z nią żenić...

Kasia. A państwo we dworze wiedzą?

Janek. Niewiadomo, ale dworusy wypenetrowali, że panna Zosia przyjechała do ojca i na pociechę i na poradę, bo jak się państwo Glinkowie dowiedzą, to to będzie termedyi że aż strach!

Kasia. Ej! w prawdziwem kochaniu termedye to jak wiatr, przylecą i odlecą.

Janek (wzdychając). Oj! nie zawdy, nie zawdy.

Kasia. Panna Zosia taka edukowana.

Janek. Ej! mało to znaczy.

Kasia. Wiele znaczy, bo jeżeli pan Władysław upodobał sobie naszą Zosię...

Janek. To i ja ciebie upodobałem, a równie matka bronią i rają mi...

Kasia (z urazą). A któż cię przy mnie trzyma? Takich jak ty to jak ptaków po świecie.

Janek (po chwili z westchnieniem). Kasiu! takie serce jak moje dla ciebie to tylko jedno, drugiego nie znajdziesz.

Kasia (z udobruchaniem). Bom go jeszcze nie szukała.

Janek (z czuciem). Nie, nie znajdziesz, choćbyś szukała dnie i noce, choćbyś góry i morza przejechała.

Kasia (spuszcza oczy). Jestem biedna dziewczyna, ale nie jak badyl przy drodze, co go każdy schwycić może, byle rękę wyciągnął.

Janek. A jak obie wyciągnie jak ja, to nie uchylisz się na stronę?

Kasia (figlarnie). Jeszcze nie wiem.

Janek (podsuwa się ku niej). Och! ty moja Kasiu, jak się uśmiechasz, to się świat cały we mnie raduje.

Kasia (odsuwa go). Tylko w dalekości, ja nie głucha, to usłyszę co mówisz.

Janek. Idzie nasza panna Zosia.

(Kasia daje znak milczenia, Zosia wchodzi ubrana po wiejsku, ale w codziennem ubraniu).

SCENA II.

Kasia, Janek i Zosia.

Zosia (stojąc w furtce ogrodowej). Kasiu, czy ojciec poszedł już do kościoła?

Kasia. Nie panienko, jeszcze jest w izbie.

(Janek i Kasia przypatrują się Zosi z wielkiem zajęciem. Kasia zachwycona, Janek jakby przestraszony).

Janek (do Kasi tajemniczo). Czy to Jagna nieboszczka.

Kasia. Ej!

Zosia. Dlaczego Janku patrzysz na mnie z takim podziwem?

Janek. Bo we wszystkiem panienka tak jak nieboszczka Jagna.

Kasia. Jakby panienka dwie w sobie miała urody i za nią i za siebie.

Zosia (ściskając rękę Kasi). To tobie winna jestem moja dobra Kasiu. Ojciec mój poczciwy tak smutny...

Kasia. Co poczciwy, to rzadko takiego drugiego napotkać.

Janek. A jakie to u gospodarza zawsze mądre powiedzenie, to drugiego nie znajdzie.

Kasia. A po śmierci Jagosi całkiem gospodarz podupadł.

Janek. Chodził jak nie swój, a zawdy w zamyśleniu.

Kasia (wzdychając). Zawdy sam...

Janek (wzdychając). Jak ptak w klatce.

Kasia. A dawniej Jagusia wszędy była tudzież przy nim.

Zosia (w zamyśleniu). Tak, to prawda.

Janek. Powiadają ludzie, że gospodarzowi zaraz po śmierci gospodyni rajono ożenienie, ale ani gadać o tem nie pozwolił.

Kasia. A był wtedy w młodych jeszcze latach.

Janek. Kiedy swatki nacierały, to rzekł: dzieciom ani ojca ani matki nie kupi, jak Bóg rozporządził tak niechaj będzie.

Kasia. Co się to tu działo, jak wróciliśmy z pogrzebu Jagny.

Janek. Gospodarz całą noc przesiedział pod lipą.

Zosia (z czuciem). Biedny ojciec!

Kasia. Od wszystkiego mu ręce odpadły, tylko chodził i chodził.

Janek. Tak i ja sobie myślę: źle! i rzekłem: gospodarzu upamiętajcie się, bo i wy się zmarnujecie i nie zmienicie co Bóg postanowił.

Zosia (z czuciem). I cóż ojciec.

Janek. Spojrzał na mnie ale tak smutnie... że i mnie w oczach pociemniało.

Kasia. W smutku to łzy tudzież przy oczach...

Janek. Potem rzekł: radbym moje dziecko, ale ja teraz jak sierota...

Zosia (z niepokojem). Czyż i o mnie zapomniał?

Janek. Nie panienko, nie zapomniał. Kiedy mu rzekłem z przymówką: alboż to gospodarzu nie macie drugiej córki? to mi odrzekł: to nie moje dziecko, między obcymi do obcych należy.

(Zosia z rozpaczą zasłania oczy).

Kasia (półgłosem do Janka). A to ci się udało. Co to za gęba taka nienamolna.

Janek. Alboż nie prawda?

Kasia (zbliża się do Zosi). Panienko.

Zosia. Moja kochana Kasiu i ty dobry Janku, mam do was wielką prośbę.

Kasia i Janek. Cóż takiego, cóż takiego?

Zosia. Ot proszę was bardzo, żebyście mnie nie nazywali panienką, tylko Zosią.

Kasia (zawstydzona). Co też to panienka pragnie.

Janek (do siebie). Mam jej mówić Zośka (parska śmiechem i zasłania usta).

Zosia. Proszę was bardzo.

Kasia. Ej! (odwraca się w połowie plecami do Zosi).

Janek. Ej! (robi to samo co Kasia).

Zosia. Kasiu, ty taka dla mnie dobra, zrób to o co cię proszę i mów mi Zosiu.

Kasia. Albobym ja śmiała! (odwraca się zupełnie plecami do Zosi).

Zosia. To ty Janku daj pierwszy przykład?

Janek. I ja nie mam śmiałości (to samo robi co Kasia).

Zosia (spoglądając na Janka i Kasię zwróconych plecami do niej). Nie idzie tu o mnie ale o ojca mego, (z wymówką). Jagosi nie nazywaliście panienką.

Kasia. To prawda — (zwraca się połową twarzy do Zosi).

Janek. Juźcić tak było, (robi to samo co Kasia).

Zosia. Jeżeli więc mam ojcu zastąpić Jagosię, to nie powinnam niczem różnić się od niej.

Kasia i Janek (zwracają się do niej twarzami). I to prawda — (chwila milczenia).

Janek. To ja pierwszy się odważę, jak to w śpiewce ludzie powiadają:

> Zosiu moja, Zosiu,
> Co się ze mną dzieje,
> Kiedy patrzę na cię,
> Dusza mi się śmieje.

Zosia. Wybornie Janku! a teraz Kasiu musisz mnie przybrać za pomocnicę, gdyż chciałabym być taką jak Jagosia!

Kasia. Takby wypadało.

Janek. U nas praca ciężka.

Zosia. Wiem o tem, pracę więc, której nie podołam, to wy spełniać będziecie, a mnie pozostawicie tylko staranie o wygody mego ojca, aby tak miał jak był przyzwyczajony do tego za życia Jagosi.

Kasia. Toby Zosia u nas zostać chciała za Jagosię?

Zosia. Tak moja Kasiu.

Kasia. To się gospodarz ucieszą.

Janek. A co to będzie kawalirów!

Kasia. Do Jagosi to przed swatkami drzwi się nie zamykały.

Janek. Ej! kiedy dworusy powiadali...

(Kasia za plecami Zosi udaje urzynanie języka — chwila milczenia).

Zosia (w zamyśleniu do siebie). Tak, to mój obowiązek. Wychowanie, jakie zawdzięczam państwu Glinkom, mamże odpłacić niewdzięcznością dla nich i dla ojca.

(przez ten czas Kasia wchodzi do ogrodu a Janek ustawia ławki. Zosia stoi na przodzie sceny).

SCENA III.

Błażej i Zosia.

Błażej (przed wystawką do Zosi). Kasiu, czy Zosia poszła już do kościoła?

Zosia (szybko podbiega ku ojcu). Jestem ojcze, czekałam na ciebie.

Błażej (z radosnym podziwem). To ty Zosiu... w tem przebraniu?

Zosia. Tak ojcze, czyż mi nie ładnie?

Błażej (z czułością tuląc do siebie). Moje dziecko kochane... to ty... ty, Zosia...

Zosia. Ja ojcze twoja córka, już teraz nie powiesz żem obca, żem...

Błażej (pomieszany z wyrzutem spogląda na Janka). Moja Zosiu nie zważaj na słowa, w smutku to język chodzi samopas.

Zosia. Pojmuję to dobrze...

(Janek podsuwa ławkę Błażejowi i wychodzi).

Błażej (siadając). Pokaż mi się przecie, niechże ci się napatrzę.

Zosia (przedstawiając się). I cóż ojcze?

Błażej. Jakaś ty do Jagosi podobna.

Zosia. Jakże mnie to uszczęśliwia.

Błażej. Kiedy ci się przypatruję, zda mi się, że przez twoje oczy wszyscy na mnie patrzą com ich kochał i co mnie odstąpili.

Zosia (siadając na małej ławeczce przy nogach ojca). To wielka dla mnie mój ojcze, bardzo wielka radość.

Błażej. Przez te kilka dni co cieszysz starego ojca inaczej wyglądałaś. Zdawało mi się żeś ty moje i nie moje dziecko, że cię przybrano tak okaźnie na pośmiewisko dla mojego prostactwa.

Zosia. Gdybyś ojcze był tylko słowo powiedział, a zaraz stałabym się Jagosią.

Błażej. Wiem żebyś zrobiła jakem pragnął, ale czyby mnie to pocieszyło.

Zosia. Jakto ojcze?

Błażej. Moje dziecko, to tylko cieszy, co idzie z serca, a nie z namowy.

Zosia. Prawda mój ojcze.

Błażej. Bo ty nie wiesz moja Zosiu, co dziecko znaczy u ojca, i jak smuci się w swem ojcostwie, kiedy radby wyciągnąć do niego ręce a nie śmie, radby przemówić a nie wie czy dziecko odpowie z równą życzliwością.

Zosia. Jakto ojcze czy wątpiłbyś?

Błażej (po chwili zamyślenia). Kiedy po śmierci Jagny nie mogłem się w zmartwieniu upamiętać rzekłem w sobie: mam przecie jeszcze córkę, choć na pańskim wychowku, ale to zawsze moje dziecko.

Zosia. Tak ojcze, jam twoja.

Błażej. Pojechałem więc do państwa Glinków, żeby cię zabrać.

Zosia. Jak ostatni raz byłeś u mnie ojcze?...

Błażej. Tak moje dziecko.

Zosia. To dla czego nie powiedziałeś tego wyraźnie?

Błażej (z boleścią). Nie śmiałem!

Zosia. Ty ojcze, żyjąc z państwem Glinkami w takiej przyjaźni?

Błażej. Tu nie szło o przyjaźń ale o własne dziecko, o moje ojcostwo, o kochanie twoje com go tak pragnął, jak rola deszczu kiedy ją pali posucha.

Zosia. Mój drogi ojcze...

Błażej. Chciałem przemówić do ciebie, a mowa zamarła w ustach — chciałem cię choć przytulić, a ręce same opadały...

Zosia. Mój dobry ojcze...

Błażej. W takiem państwie jakie widziałem koło ciebie, zdało mi się żeś mem dzieckiem tylko z ludzkiej mowy, ale nie z krwi i ciała według rozkazu Boskiego.

Zosia. Och! Boże!

Błażej. W tem lękaniu się, w oczach i sercu tylko łzy, a nie chciałem je przed ludźmi wypłakać, żeby nie powiedzieli, że Błażej Grzęda ciemny prostak, bo płacze sam nie wie czego.

Zosia. A dla czego ojcze dziś mi to wszystko wypowiadasz z taką otwartością?

Błażej. Dziś moje dziecko, poznałem twoje serce dla siebie. Z własnego domysłu przyjechałaś dla mojej pociechy — z własnego domysłu za Jagosię dałaś mi Zosię, niechże ci Bóg błogosławi...

Zosia (wzruszona). Dla czegóż, kiedy mnie tak kochasz ojcze, oddałeś do państwa Glinków?

Błażej. Kiedyś, nie za mojej ani dziada mego pamięci, Grzęda w jakiejś biedzie ocalił życie Glince, i odtąd choć Glinkowie byli w państwie a Grzędowie na chudopacholskiem gospodarstwie, żyli jednak z sobą w wielkiem zachowaniu. Razem żenili się, razem dziatki chrzcili i kumali się i szli w świat razem, a Grzędzianki poduczały się u Glinków roboty przydatnej w gospodarstwie. Grzędom dobrze z tem było, bo im więcej się widzi i słyszy tym więcej rozumu przybywa, ale i Glinkom szła z tego pomoc, bo życzliwość ludzka wiele znaczy.

Zosia. O, mój ojcze, państwo Glinkowie bardzo cię poważają.

Błażej. Wiem o tem, to też gdy im nie chowały się dzieci, oprócz najstarszego syna jedynaka pana Władysława...

(Zosia wzdycha smutnie).

Błażej. Smucisz się z tego ich nieszczęścia? Tak się i oni smucili, gdy więc trzecia córka umarła w małoletności, pan Glinka prosił aby ciebie oddać dla pociechy matki. Podzieliliśmy się zatem z wami, bo i was więcej było w domóstwie...

(Zwiesza smutnie głowę).

Zosia. Wiem ojcze.

Błażej. Chcieliśmy cię potem odebrać, ale państwo Glinkowie zwlekali, i tak zwlekło się aż do twej dojrzałości...

Zosia (smutnie). To wielka szkoda mój ojcze.

Błażej (wzdychając). Prawda moje dziecko, ale stało się...

Zosia. Miałeś do mnie prawo...

Błażej. I to prawda, ale gdybym swemu prawu dał był posłuch, przychylność między nami mogłaby się rozchwiać, jak drzewo gdy je grom Boży na dwoje rozedrze.

Zosia. Tak to prawda, jakże to pięknie wyraziłeś...

Błażej. To nie z mego wyszło rozumu, tylko z dziadów i pradziadów, a przyjaźnienie Grzędów z Glinkami dla tego tak się utrzymuje, że zachowujemy z sobą politykę. Grzędowie nie podnoszą się zbytnią poufałością, a Glinkowie nie przechwalają się swojem państwem. Idziemy razem z sobą, ale z pamięcią, aby jeden drugiemu nie zawadzał.

Zosia (z przestrachem). Żeby jeden drugiemu nie zawadzał?

Błażej. Tak moje dziecko, cóżeś się tak przestraszyła?

Zosia (nieśmiało). Ja...?

Błażej. Mój rodzic powiadali mi, że kiedyś tam kiedyś, z Grzędzianką chciał się Glinka ożenić...

Zosia (żywo). I ożenił się?

Błażej. Nie moje dziecko, bo Grzęda na to nie pozwolił.

Zosia (z wielkim podziwem). Grzęda?

Błażej. Tak, Grzęda.

Zosia. Przecież połączenie się z Glinkami przez małżeństwo, to zaszczyt dla Grzędów.

Błażej. Zaszczyt i wielki, do któregoby się wielu na przepaść rzuciło, ale Grzędowie wiedzą, co godzi się a co nie godzi, a tu właśnie... nie godzi się.

Zosia (z uniesieniem). Ojcze! czyż podobna.

Błażej. Tak, nie godzi się. Bo tylko zważ moje dziecko, coby ja znaczył gdybyś na ten przykład została żoną pana Władysława?

Zosia (pomieszana). Gdybym została jego żoną?

Błażej. Jabym że wstydem podnosił oczy ku wam żem prostak, a wy patrzylibyście jak na obcego, bo i obcy byłbym między wami.

Zosia (zapominając się). O nie ojcze, nigdy!

Błażej (przypatrując się jej bacznie, wzdycha smutnie i zwiesiwszy głowę mówi:) Zdaje ci się moja Zosiu, natura w człowieku to jak ptak w klatce co się wydziera do pola i lasów. Jabym ku swoim się oglądał, a wy ku swoim, i w tem rozdwojeniu więcej mielibyśmy smutku jak radości, nie godzi się więc przykładać do tego ręki, co ojcom i matce może serce krwawić przez całe życie. Uczyłaś się Zosiu, masz naukę...

Zosia (z rozpaczą). I cóż mi po niej.

Błażej. Moje dziecko, nauka wiele znaczy, tylko ludzie tak się z nią obrządzają, jak głupi gospodarz z pługiem, co pulchni rolę nie dla ziarna ale dla kąkolu. Kąkolu też po świecie więcej jak ziarna.

Zosia (bierze rękę Błażeja i z wielkiem czuciem przyciska do ust i piersi). Mój drogi kochany ojcze!

Błażej (z powagą i rzewnością). Mój aniele pociechy... całujesz mi rękę... dla czegóż szczęście tak prędko ucieka...

Zosia. Jeżeli ci mój ojcze daję szczęście, to taką pozostanę na zawsze.

Błażej. Na zawsze. Zawsze, idzie w dalekości przed nami, a co ma stać się, to tylko wiedzą tam w wysokości.

Zosia. Prawda...

Błażej. Czasami nawiedzaj starego ojca... Samotność moja to ból wielki...

Zosia. Mój ojcze...

Błażej. Ale my się rozgadujemy a tu czas do kościoła. Po nabożeństwie muszę pójść do państwa Glinków i zaprosić ich na nasze Maszkary, bo to już taki zwyczaj odwieczny... Do kościoła moje dziecko przybierz mi się świątecznie: kwiatów w ogródku niebrakuje a i w skrzyni znajdziesz kilka sznurów korali. Na nasze Maszkary, ludzi nazjeżdża się dosyć z różnej okolicy, niechże i ze spojrzenia poznają żeś ty Grzędzianka.

Zosia. Dobrze ojcze, zrobię wszystko jak pragniesz.

Błażej. Idę więc a i ty Zosiu pospieszaj (wychodzi).

Zosia. Za chwilkę będę gotową.

(d. c. n.)

Korespondencya z Londynu

Sezon londyński. — Uroczystość w Coventry. — Skandaliczne wydawnictwo. — Mieszkania dla biednych wyrobników z funduszu Peabody'ego. — Wyrób i handel obrączkami ślubnemi. — Fabryki maszyn do szycia. — Zjazdy duchowieństwa protestanckiego. — Stowarzyszenie odrodzenia złodziei przez pracę. — Meetingi w kwestyi przyznania kobietom prawa głosowania. — *Shakespeare'a Memorial.* — Wystawa pamiątek i konkurs na pomnik i posąg Byrona. — Wystawy malarstwa. — Ouida i jej powieści włoskie.

(Dalszy ciąg).

Sprawozdanie fabrykantów z Birmingham wywarło silne wrażenie na myślicielach i filozofach londyńskich. Siedmdziesiąt tuzinów ślubnych obrączek na tydzień, a więc i tyle małżeństw, tyle wianków pomarańczowych, tyle welonów i sukien ślubnych, tyle wszystkiego co z tego wynika!..

Równie zajmującem jest sprawozdanie złożone w Boaep of Trade o rozwoju wyrobu maszyn do szycia. W przeciągu ostatnich lat trzydziestu jakiż to przewrót na świecie spowodowały te maszyny, ale nigdzie może nie oddziałały tak zbawiennie na ogólny dobrobyt biedniejszej ludności, jak tu w Anglii. Rzadko teraz rażą oczy brudne i podarte łachmany. Biedna wyrobnica może czysto i porządnie przyodziewać swe dzieci, nie odrywając się od swoich zajęć, a każda biedna pracownica może bez wysilenia zapracować sobie na kawałek chleba. A jednak ileż to wygłaszano przerażających przepowiedni za pojawieniem się tego wynalazku! jaką ruiną grożono biednym pracownicom igły! Dziś pokazuje się że ilość szwaczek na maszynie jest dwa razy większa niż dawniej było pracownic igły, a pomimo to więcej zarabiają i lepiej żyją. W sprawozdaniu jest nadmienione że ostatni patent na wyrób maszyn do szycia ekspiruje niezadługo, w skutku czego i ceny maszyn spadną niesłychanie, tak że najbiedniejsze pracownice będą mogły je nabywać. W upłynionym roku samych maszyn Singer'a sprzedano przeszło *milion* a wiele tysięcy z tej liczby wysłano aż do Chin.

Wiadomo że prawdziwy *fashionable* sezon londyński rozpoczyna się dopiero w pierwszych dniach czerwca, ale w tym szczególniej roku daleko tłumniej i gwarniej było na ulicach od 25 kwietnia do 31 maja. Wszędzie spotykało się tłumy mężczyzn ubranych czarno z białemi kołnierzykami; we dnie pełno ich było w muzeach, wystawach, koncertach, a wieczorami tysiącami schodzili się do wielkiej sali Exeter-Gall. Ciekawy i niezwykły przedstawia widok to tłumne nagromadzenie duhownych i „persuasions“ na jakie rozpada się protestantyzm. Każde stowarzyszenie ma tę przezorność iż zawczasu zamawia i wynajmuje sobie salę na pewien dzień tego miesiąca, a jakikolwiek jest cel zebrania, można być pewnym że olbrzymia ta sala mogąca pomieścić 9,000 osób zawsze będzie zapełniona.

Około ósmej z wieczora przybywa *weslejanin* w obszernym fraku czarnym, w szerokich pantalionach i dużym kapeluszu z szerokiem rondem; za nim wchodzi baptysta w sukni bez kołnierza i guzików, w wielkim białym krawacie i miękkim kapeluszu; tu znowu tłum rozmaitych misyonarzy starych i młodych, przybywających ze wszystkich części świata, opalonych od słońca, wybladłych od śniegów, a wszyscy przychodzą aby być obecnymi na zgromadzeniu klanów kościoła. Wszyscy przybywają jeszcze przed otwarciem drzwi sali; jedni gromadkami po kilku przychodzą piechotą, inni koleją, omnibusami, tramwajami, a wszyscy z uśmiechem na ustach i wydają się tak weseli, jak gdyby pozostawili za sobą na spiekłych płaszczyznach Afryki lub w czarnych i zimnych lasach Ameryki północnej, wszystkie troski i smutki swego samotnego, wygnańczego życia. Pierwsze posiedzenie odbywa zwykle Stowarzyszenie rozszerzania „Traats“ to jest broszur religijnych którego głównym celem jest rozkrzewianie religii na wszystkich krańcach świata i nagromadzanie pieniędzy w swojej kasie; ostatni ten cel jest najzupełniej dopięty, gdyż jak wykazał zeszłoroczny obrachunek, po opłaceniu wszelkich wydatków, pozostało w kasie 100,000 funt. szterlingów przewyżki! Może nie ma w całej Europie ani jednego państwa któreby mogło pochlubić się podobnym stanem swoich finansów.

Dość ciekawe są szczegóły organizacyi „Stowarzyszenia rozszerzania Tract'ów.“ Wiele osób żyje

wyłącznie z honorariów jakie otrzymują za pisanie broszurek obejmujących przeróżne bajeczki i gawędy, mające niby jak na pasku wprowadzać stare dzieci na drogę zbawienia. A jakże dziwaczne i śmieszne są tytuły niektórych tych broszurek, cóż powiecie na te naprzykład: „guziki perłowe do zapinania... szarawarów prawowiernego“ „Kropelki mleka dla dzieciątek Chrystusa“ „Grzaneczki i ciasteczka na piknik w Syonie“ „Pigułki dla przeczyszczenia grzesznika“ i całe setki tym podobnych. Ilość stronic tych broszurek wydrukowanych w ciągu roku, dochodzi bajecznej liczby 662,557,500!... Fundusze zebrane w tym roku ze sprzedaży „i różnych zasiłków“ wyniosły sumę 152,529 funtów szt. W samej Anglii rozdano darmo po ulicach, placach publicznych i szkołach niedzielnych 2,660,000 broszur, a i zagranicą z równą rozrucano je hojnością.

Jednak mimo swej śmiesznej strony, Stowarzyszenie to jest doskonale uorganizowane pod względem umiejętnego zagarnięcia handlu. Pod pozorem rozdawania „Tracts“ w najodleglejszych stronach świata, wysyłają tam najpierw agentów swoich aby się nauczyli języka i przekładali na niego broszurki; ci osiadłszy w jakiejś miejscowości, starają się zbadać zasoby krajowców do handlu i środki transportu artykułów któreby mogli dostarczać dzikim. Misyonarze katoliccy pracują dla nieba protestanci dla świata; pierwsi tylko kielich i krzyż zabierają z sobą, drudzy w jednej ręce trzymają biblię, w drugiej sztukę perkalu.

Mówiąc o Stowarzyszeniach nie mogę pominąć jednego, którego działalność płodna jest w nader ważne następstwa dla całego społeczeństwa; a założonego przez lorda Shaftesbury i kilku szlachetnych filantropów, którego celem opiekowanie się złodziejami którzy przez pracę mają odrodzić się do uczciwego życia. Otóż Stowarzyszenie to rozwija się bardzo pomyślnie; ciekawą jest historya jego założenia.

W samym środku City, w Flet-street, istnieje kryjówka złodziejska o której policya wie, brzydzi się i boi zarazem. Jest to przejście tak wązkie że zaledwie dwóch ludzi może iść koło siebie, gdzie smrodliwe wyziewy zatruwają powietrze sprowadzają febry i zaraźliwe gorączki, gdzie nawet nie rozumieją języka angielskiego a mieszkańcy zaledwie mają jakieś fizyczne podobieństwo do ludzi. Twarze ich są spłaszczone, spojrzenie ukośne i jakby przestraszone, chód niepewny i bojaźliwy jak u dzikich zwierząt. Wszystko w tej uliczce Field-Lane tchnie występkiem i zgnilizną.

Już od dawna władze City pragnęły znieść tę cuchnącą jaskinię, ale stawała temu na przeszkodzie chciwość właścicieli, którzy tak w Londynie jak po większej części na całym świecie, mają to przekonanie że pieniądz zawsze ładnie pachnie, bez względu skąd pochodzi. Nędznicy zamieszkujący Field-Lane, płacą tam za lichą izdebkę tak wysokie komorne iżby za nie w innej dzielnicy cały domek nająć mogli, więc właściciele domów nie chcą zezwolić na zburzenie tej siedziby zbrodni i złodziejstwa. W środku tej brudnej uliczki znajduje się budynek smrodliwszy jeszcze od innych, noszący nazwę „the Thieves Kitchen“ (złodziejska kuchnia). Tu zgromadzają się „najznakomitsi“ złodzieje, nie nędznicy kradnący chustki i zegarki; ale arystokracya tego fachu, dopuszczający się gwałtownych kradzieży, zarabiających, według miejscowego wyrażenia „rzadko ale grubo.“

Ciekawy był to widok gdy w wieczór zimowy rabusie ci zasiedli około przegniłego brudem stołu, zapijając piwo i gin wśród kłębów dymu najordynarniejszego tytuniu. Stół bywał zawsze suto zastawiony; otóż w jednym końcu stał prosty zydel drewniany na którym siadał często wysoki, blady i szczupły młodzieniec, mający delikatne rysy twarzy, ruchy poważne i dystyngowane, który grą swoją na skrzypcach czarował dzikich biesiadników, tak, iż aby go słuchać zaprzestawali przekleństw i krzyków. Młodzieniec ten, którego dzicy wielbiciele jego talentu znali tylko pod nazwiskiem „Fidler Joe“ (Skrzypek Joe) był synem lorda C*, uczniem teologii w uniwersytecie Oxfordzkim; wziął sobie za zadanie poprawę złodziei i po długich usiłowaniach potrafił nareszcie wcisnąć się wśród nich, dzięki talentowi z jakim im wygrywał ulubione ich śpiewy. On to pierwszy zawiązał Stowarzyszenie odrodzenia złodziei przez pracę; ulegając jego łagodnym nalegamiom i przekonywającej wymowie, złoczyńcy opowiedzieli mu smutne dzieje swego życia nędzy i występku; jemu to policya londyńska zawdzięcza zniesienie Thieves Kitchen i rozproszenie dzikich jej uczestników.

(d. c. n.)

ZIEMIE NIEBA.

Astronomiczny, fizyczny, klimatologiczny opis planet wraz z ziemią krążących około słońca, oraz przypuszczalny stan życia na ich powierzchni.

Kamila Flammarion.

Streszczone przez

Joannę Belejowską.

III.

Merkury.

(Dalszy ciąg).

Siła promieniowania słonecznego, jest na Merkurym blisko 7 razy większa niż na Ziemi; przyjmuje on od Słońca najwięcej światła i ciepła. Największa różnica zachodząca między Merkurym a Ziemią leży zdaje się w temperaturze, nie należy jednak mniemać, że temperatura zależy wyłącznie od odległości od Słońca, gdyby Merkury pozbawiony był atmosfery, mógłby być bryłą lodu, z kolei roztapiającą się i zamarzającą. Klimat planetarny, nie tyle zależy od odległości od Słońca, jak od rozciągłości i przezroczystości atmosfery, a wiadomo że Merkury otoczony jest wielką atmosferą, która, o ile można wnosić z wejrzenia, jest daleko gęstszą od naszej i osłonięta znacznem nagromadzeniem chmur, tworzących jakby ekran od tak blizkich promieni słonecznych.

Drugim ciekawym punktem odnoszącym się do możliwości zamieszkania planety Merkurego, byłaby możność zważenia stanu ciężkości na jego powierzchni. Lecz jak tu oznaczyć dokładnie ciężkość tego planety. Gdyby miał satelitę, zadanie byłoby łatwem do rozwiązania, gdyż prędkość biegu satelity wskazywałaby ciężkość planety, zarówno jak prędkość obrotu księżyca odpowiada ciężkości Ziemi. Ale Merkury nie ma najmniejszego satelity. Gdyby był cięższym niż jest, sprawiłaby pewne zamieszanie w biegu Wenus około Słońca, a dokładne oznaczenie tego zboczenia umożebniałoby oznaczenie masy Merkurego — ale jest za słaby aby mógł jakiekolwiek widoczne wywierać działanie. Jedynym więc sposobem zważenia jego ciężkości, było zbadanie jego perturbacyjnego oddziaływania na bieg komet przebiegających koło niego. Najściślejsze badania przedsiębrane w tym kierunku, nareszcie przed kilku laty doprowadziły do wniosku: że Merkury waży blizko piętnaście razy mniej niż kula ziemska, z czego wynika, że gęstość składających go materyi, przechodzi w ogóle średnio tylko o szóstą część gęstość materyi ziemskich. Na powierzchni jego ciężkość jest o *połowę mniejsza* niż na naszej Ziemi: kilogram ważyłby na Merkurym tylko 521 gramów. Z powodu tak małej ciężkości, stworzenia tak ogromne i ciężkie jak słoń, hippopotam, mastadont lub mammut, mogłyby na Merkurym posiadać zwinność gazeli lub wiewiórki. Wyobraźnia łatwo może wywnioskować, jakie ta różnica ciężkości musiałaby spowodować zmiany w materyalnych a nawet i intellektualnych działaniach ludzkości, zamieszkującej powierzchnię planety.

Z tego cośmy powiedzieli wyżej musimy wnosić, że warunki życia na powierzchni planety Merkury są całkiem inne jak na naszej Ziemi. Pomimo chmur zawisłych w atmosferze, temperatura musi być tam wyższa; pory roku wydatniejsze i krótsze jak u nas; rok każdy liczy tylko 88 dni; ponieważ planeta jest mały, więc i prowincye jego nie mogą być rozległe. Materye z jakich składają się stworzenia i rzeczy są gęściejsze, a ciężkość ich prawie o połowę mniejsza niż na naszej Ziemi. Jednak różnice te nie powinny doprowadzać do wniosku że życie jest tam niemożebne, gdyż sam widok Ziemi pokazuje nam, że formy życia zależą od warunków w jakich się ono rozwija i że ze zmianą tych warunków i życie się odmienia. Obecne życie na Ziemi nie jest bynajmniej takiem jakiem było w epokach geologicznych, kiedy temperatura była daleko wyższa a atmosfera cięższa niż za naszych czasów. Po dziś dzień życie zmienia się względnie do klimatu a szczególniej do miejscowości; istota stworzona do życia na lądzie, umiera zanurzona w morzu, a mieszkaniec wód umiera pozbawiony swego żywiołu. Siły przyrody wytwarzają skutki odpowiadające okolicznościom, i dziwnie sądzilibyśmy o ich potędze, utrzymując że świat Merkurego jest jałową pustynią, ponieważ jego warunki życia zupełnie różnią się od istniejących na Ziemi.

Czy życie na Merkurym równie jak i u nas podzielone jest na dwa królestwa: roślinne i zwierzęce, a królestwa te na rodzaje wodne i lądowe — trudno odpowiedzieć stanowczo, choć dotąd zarówno przyrodnicy jak i astronomowie utrzymują jednozgodnie, że różnice te są niezbędne. Lecz czyż przyroda nie mogła wytworzyć istot zupełnie różnych od wszelkich znanych na Ziemi? Tu rośliny podobne są do istot uśpionych w oczekiwaniu życia zwieżęcego, na innych światach może są ożywione. Czy na Merkurym jak na Ziemi podział pracy w przyrodzie doprowadził do tak wielkich różnic między rodzajami; czy tam są owady na kwiatach szukające pożywienia, ptaki ulatujące pod niebiosa, ryby zamieszkujące w wodach? Czy i tam ma miejsce walka o byt i wzajemne się wytępianie? — na to odpowiemy w *Zakończeniu* — tu powiemy tylko, że ponieważ na każdym planecie inne są przyczyny, zatem muszą one odmienne wywoływać skutki. Dodamy jeszcze iż mówiąc o ludziach zamieszkujących Merkurego lub inne jakie planety, nie utrzymujemy że są to ludzie nam podobni, że mają oczy, uszy, ręce i nogi, płuca, żołądek i organa trawienia, twarze i kształty takie jak my — tylko mówiąc o tych mieszkańcach nadajemy nazwę rodzaju ludzkiego, wyższemu i rozumnemu rodzajowi zwierzęcemu, który wyniósł się po nad swoich przodków i żyje życiem umysłowem, *Ludzie innych światów nie mogą być nam podobni*; istoty powstałe na każdej planecie są dziećmi tejże planety, zrodziły ich właściwe jej siły organiczne i w odpowiednich miejscowościach, rodzaj po rodzaju następowały po sobie jak ogniwa łańcucha i wyższy na każdym świecie rodzaj, pochodzący od poprzedzających, i streszczający je w sobie tak swoją postacią jak wnętrzem musi różnić się od siostrzyc swoich w przestrzeniach. Gdybyśmy znali dokładnie, mówi Flammarion, przyczyny jakie

wytworzyły życie ziemskie i doprowadziły je do obecnego stanu, jakoteż przyczyny względne istniejące na innych światach, wtedy, przez analizę i syntezę, moglibyśmy probować odgadnąć stan i formę życia na innych światach. Co do Merkurego w szczególności, możemy tylko odgadywać: że ponieważ warunki życia są tam gorsze niz u nas, mieszkańcy jego muszą pewnie stać niżej od nas pod względem uczuciowości i rozumu, różnić się kształtem, być silniej zbudowani, a mimo to zręczniejsi i lżejsi i żyć prędzej od nas. Jednak i tam oddychanie musi odgrywać przeważną rolę w organizmie istot.

„Na Merkurym, mówi dalej autor, życie musiało rozwinąć się w odmiennych warunkach od naszego, a przeciwnicy poglądu mego utrzymują: że właśnie te różnice nie dopuszczają do życia, lecz nie zakreślając granic twórczej potędze Wszechmocnego, mniemam że *różnice te spowodowały tylko względne zmiany w organizmie stworzeń.*

Ciała się różnią ale nie dusze i zasady rozumu; tu mogą tylko istnieć stopnie a nie zupełne różnice. Wszak i na Ziemi nie wszyscy ludzie są jednakowi, różnią się cerą, budową i cechami rasowemi, ale wszyscy rozumują na mocy jednych zasad bezwzględnych, wszędzie, mniej więcej, sumienie zbliża się do *jednych* absolutnych prawd moralnych. Ciała różnią się od siebie, ale wszystkie myślące dusze Wszechświata są sobie bratnie.

Teraz musimy jeszcze odpowiedzieć na jedno często zadawane nam pytanie: jak Ziemia nasza przedstawia się mieszkańcom innych planet?

Ponieważ Ziemia jest gwiazdą Nieba, zatem mieszkańcy innych światów widzą ją na swojem niebie, tak jak my je widzimy, a planeta nasz przedstawia im się stosownie do ich od nas odległości i położenia. Kula ziemska nie ma własnego światła, równie jak Merkury, Venus, Mars i t. d. błyszczy jednak w przestrzeni jak gwiazda, gdyż odbija światło odbierane od Słońca. Widziana z pewnej odległości (350,000 do 400.000 mil) Ziemia wydaje się tej wielkości jak nasz Księżyc, przedstawia te same zmiany, stosownie do tego czy się patrzy wprost lub ukośnie na jej oświetlone Słońcem półkole, i wydaje się równie jasną gdyż grunt ziemski równie jasno jak księżycowy odbija promienie słoneczne:

Gwiaździste niebo zupełnie jednakowo się przedstawia, tak patrzącemu z Ziemi jak z Merkurego lub innych planet. Gwiazdy tak są oddalone od układu słonecznego (*najbliższa* leży dalej jak o 8.000 miliardów mil) że perspektywy nieba nie zmieniają się czy patrzeć na nie z Ziemi, z Merkurego, Uranusa lub nawet Neptuna; konstelacye nieba Merkurego są więc też same co i nasze.

Co też myślą o nas filozofowie Merkurego? czy przypuszczają że Ziemia może być zamieszkaną? czy mają uczonych dowodzących że Ziemia jest lodowatą, jałową pustynią z powodu swego oddalenia od Słońca, lub przeciwnie nie zaprzeczają przyrodzie sił potrzebnych do zaludnienia wszystkich światów? Tak oni pewnie sądzą że Ziemia jest zamieszkaną, a że jest dla nich świetną gwiazdą jaśniejącą na niebie, myślą zapewnie że tak wspaniała ziemia nieba musi być przybytkiem światła, szczęścia i spokoju... Jakże strasznieby się rozczarowali, gdyby mogli przyjrzeć nam się nieco bliżej!..

(d. c. n.)

LISTY Z TORUNIA.

M. D. Chamskiego.

IV.

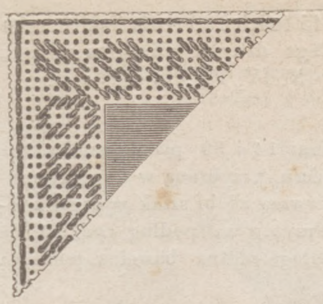
Najwybitniejszy objaw pracy społecznej przedstawia się tak w Poznańskiem jak i w Prusach Zachodnich na polu ekonomicznem. Ten zaś ruch ekonomiczny, streszcza się przedewszystkiem w *stowarzyszeniach*, jak to już wyżej powiedziałem. Pod tym względem zrobiono tu bardzo wiele, a z tego, co się robi, można się spodziewać jeszcze daleko większych rezultatów. W stowarzyszeniach tych szeroki przyjmuje udział tutejsze mieszczaństwo. Dochodząc do samego gruntu, mieszczaństwo tutejsze nie jest zniemczone, pod względem jednak powierzchownym, pod względem towarzyskim i obyczajowym, nie można powiedzieć, aby zostało niepokalane. Przeciwnie. jeżeli włościaństwo i szlachta tutejsza nie przyjęły do siebie nic z niemieckiej obyczajowej kultury, i zostały sobą, zachowując tradycye i charakter narodowy, mieszczaństwo pokryte zostało skorupą obyczajowej niemczyzny, pod którą dopiero szukać należy ich narodowej indywidualności i tego pulsu życia, którego strumienie płyną od serca, ale na wierzch się wydobywają, jedynie przy donioślejszych okolicznościach. Mieszczanin tutejszy co do sposobu życia domowego, niczem się prawie nie różni od niemca. Lubi żyć po za domem i oddychać atmosferą knajpy. Zatracił on tak dalece poczucie i potrzebę domowej towarzyskości, że ze znajomymi i przyjaciołmi spotyka się tylko przy kuflu piwa w bawaryi, lub restauracyi, jeżeli chodzi o przyjemniejsze przepędzenie czasu, albo na zebraniach, jakiego *towarzystwa*, jeźli mu idzie o poważniejsze cele. Łatwo też każdego uderzyć musi w oczy, brak gościnności domowej w pośród tutejszego mieszczaństwa. I nie jest gościnny, dla tego, żeby był skąpy, lecz po prostu dla tego, że nie umie być gościnnym. Przychodzisz do takiego mieszczanina mając interes, albo nawet bez interesu celem odwiedzenia, przyjmuje cię w ten sposób, jakbyś się z nim spotkał w publicznem miejscu. Zaledwie poprosi cię siedzieć, i to nie zawsze. Rozmawiając o tem ,,co słychać na świecie,“ najobojętniej pije ,,swoją“ poobiednią kawę i nawet dla formy nie będzie cię częstował jednem słowem, poczucie gościnności zatracił on zupełnie. Drugą uderzającą charakterystyczną cechą jest zupełny brak rycerskości względem kobiet. Mieszczanin tutejszy nie umie być grzecznym i uprzedzającym dla kobiet, a zrobiło to się poczęści z tego, że mężczyźni zawsze oddzielnie się zabawiają nawet wtedy, gdy jaki obrzęd rodzinny, jak chrzciny, albo wesele odbywają się w domu; młodzież nawet mieszczańska, wtedy tylko jest razem z kobietami, gdy tańczy, z ostatnim jednak dźwiękiem muzyki, zmyka do innej izby, zostawiając panny własnemu przemysłowi. Nierzadko też można spotkać w miejscach publicznych, jak małżonek rozpiera się na ławce podczas kiedy żona z braku miejsca zajętego przez innych mężczyzn, stoi skromnie obok ławki...

Urządzenie domu tutejszego mieszczanina nawet zamożnego, odznacza się czystością, ale nigdy gustem. Jaskrawość kolorów najmniej stosownych z sobą, można spotkać na każdym kroku, a ściany pełne są obrazków, bez najmniejszego smaku artystycznego wybranych i poumieszczanych bez symetryi i instynktowego poczucia linii... Mieszczanki, już z powodu wewnętrznego urządzenia domu, widać iż nie mają rozwiniętego smaku estetycznego, ale też i toaleta, choć się lubią stroić, razi krzykliwością kolorów i niemile wpadającą w oko kombinacyą form. Prawda, że pod względem tej toalety, stoją one jeszcze daleko wyżej od mieszczanek niemek, które są fatalnie *zkucharzone*, i oprócz rumianego i zdrowego buziaka (to im trzeba przyznać) niczem więcej się nie odznaczają: ale pod względem form towarzyskich, i mieszczanki polskie np. w Toruniu, i mieszczanki niemieckie, są jednakowe, ciche, skromne, pracowite, poprzestające na małem, mało rozwinięte pod względem umysłowym, i nieposiadające nawet instynktów salonowej elegancyi...

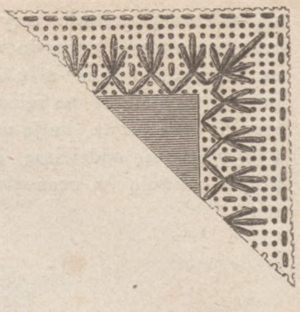
Sprawiedliwość wyznać mi nakazuje, że te niedostatki towarzyskie maleją w obec innych cnót domowych, jakiemi się odznaczają kobiety z tutejszej klasy mieszczańskiej. Oszczędność np. u tych kobiet, stała się ich naturą: ogólnie powiedziawszy, nie umieją one być rozrzutne. Te nawet, które dom prowadzą na zamożniejszą stopę, zajmują się osobiście wykonywaniem robót najbardziej prozaicznych; sługa, jest tylko dla nich pomocnicą, a wszystko, co mąż mieć musi, wykonywane jest własną jego żony, ręką... Jeżeli mąż wolne chwile od zajęcia, przepędza po za domem, żona nie zna, tylko dom... a gdyby nie jej pracowita i ogarniająca ręka, nieraz fundusze domowe są tak nadszarpane różnemi mężowskiemi namiętnościami, że blada twarz niedostatku, zajrzałaby do rodzinnego ogniska... Szorstkie i czerwone ręce wykąpane w prozaicznych mydlinach, są w istocie opiekuńczemi skrzydłami nad strzechą domową... Nie znajdziesz w takiej kobiecie form salonowych, razić cię nawet czasem będzie niewyszukany sposób wyrażania się, ale zachwyci cię pogodnym umysłem, niewinnością najprostszych uciech i żywą wdzięcznością za zrobioną jej najzwyklejszą przyjemność... Niedźwiedziowatość męża znosi z największą rezygnacyą, ze wszystkiego zadowolona, uśmiechnięta, a jeźli się poskarży, lub zapłacze, to tylko po cichu, przed Bogiem w kościele...

Do dzisiejszego N-ru Tygodnika Mód dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 23 Авг. (4 Сент.) 1877 г. Redaktor J. K. Gregorowicz. Wydawca E. Skiwski. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna N. 758 (28).



N. 1. Narożnik do ryc. 44.



N. 2. Narożnik do ryc. 44.



N. 3. Paletot z szalowym kołnierzem. Patrz ryc. 4. Krój na arkuszu N. X, Fig. 40—47.



N. 5. Ubranie na wizyty wieczorne.

Opis do N. 36.

(Dalszy ciąg).

N. 6--7. Dwa rękawy do sukien.

N. 8 i 42—43. Suknia ze stanikiem z podciętą baskiną i spódnicą zakładaną w fałdy. Krój na arkuszu N. II, Fig. 8—12-a.

Całe wykończenie tej sukni, przybranie kokardami i odrobienie stanika odznacza się zupełnie gustem i stanowi eleganckie wizytowe ubranie. Pod całą spódnicę trzeba dać podszewkę z muślinu na której układają się pojedyńczo bryty sukni w fałdy po 7 cent. szerokie; co cztery, dany odstęp gładki. Wzdłuż wewnętrznego brzegu każda fałda przyszywa się do muślinu. Trochę odmiennie ułożone są na tylnym brycie fałdy w sukni przedstawionej z tyłu na ryc. 43. Krój stanika załącza na Fig. 8—12, pojedyńcze części zestawiają się podług zmniejszonego formatu Fig. 8-a—12-a i podług liter odpowiadających sobie. Przyszycie ranwersu Fig. 9-A przy tylnym brzegu baskiny, wzdłuż brzegów plisowanych falbaneczek od R—Q, oznaczone jest na Fig. 9 linią gładką. Patka w końcach ścięta w ząb liczy 18 cent. długości. Fig. 12 daje formę kołnierzyka układanego w 4 cent. szerokie plisowane fałdki, które wszywa się w podłużny wykrój szyi od Y—Z. Suknia przedstawiona na ryc. 8 jest z materyi faille z kokardami w jednakowym lub odmiennym od sukni kolorze. Przewiązany szal koronkowy czyni to ubranie odpowiedniem na zebrania wieczorne. Na ryc. 42 widzimy przód sukni z gładkiego wełnianego materyału ze stanikiem szeroko podłużnie wyciętym, zdobnym kokardami i szmizetką muślinową.

N. 9. Suknia z kaftanikiem odznaczonym przybraniem.

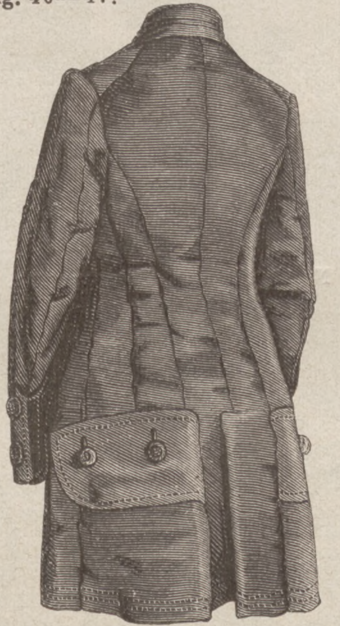
Odszyta z perkalu w pasy jasne i ciemne popielate, zdobne ponsowemi wypustkami, składa się ze spódnicy i vêtement formą princesse, na którem odznaczony jest kaftaniczek.

Plisowanie przy sukni liczy 13, u dołu vêtement 11 a odznaczające kaftanik 8 cent. szerokości; plisy są 4 cent. szerokie; szeroki wykładany kołnierzyk odznaczony jest wąziutkiem plisowaniem i ponsową wypustką. Kapelusz z białej słomki podszyty aksamitem, zdobny wstążką i piórem.

N. 10 i 40. Sukieneczka dla dziecka lat 2. Krój na arkuszu N. XII, Fig. 53—57.

Może być uszyta z materyału wełnianego lub z materyału do prania, a na dnie chłodne z flanelki kolorowej; przybranie stanowi haft 2 cent. szeroki, guziczki z konchy i kokardy z wstążki kolorowej. Szeroka szarfa związana z tyłu, wpuszczona jest na szwach bocznych; przy zszywaniu pleców zakłada

N. 6. Rękaw do sukni.



N. 4. Paletot z szalowym kołnierzem. Patrz ryc. 3.

N. 7. Rękaw do sukni.

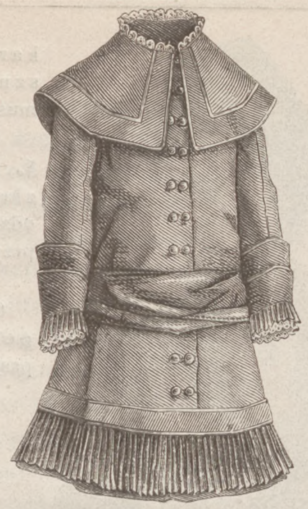


N. 8. Ubranie strojne wizytowe ze spódnicą fałdowaną. Patrz ryc. 42—43. Krój stanika na arkuszu N. II, Fig 8—12.



N. 9. Suknia z kaftanikiem odznaczonym przybraniem.

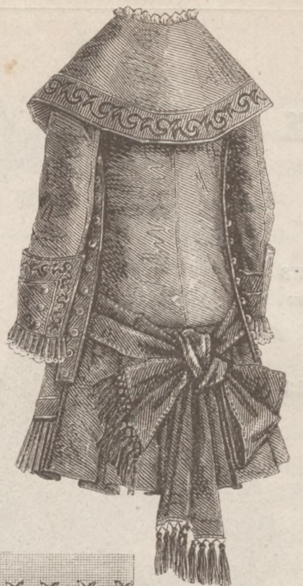
się w każdej połowie trzy fałdki z 8 cent. szerokości, które do wcięcia stanu są zastębnowane a u dołu wolno puszczone. Patki na rękawach i kieszonki (oznaczone liniją na Fig. 55 i 57), szyją się oddzielnie i następnie przystębnowują w oznaczonych miejscach.



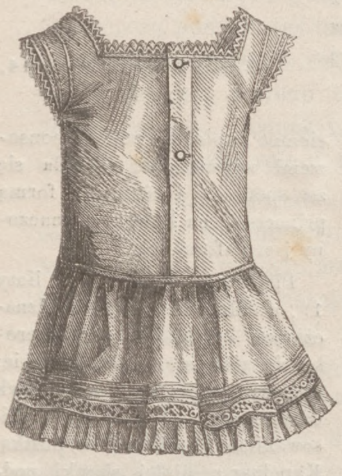
N. 11. Płaszczyk z pelerynką dla dziewczynki lat 3—5. Patrz ryc. 12. Krój na arkuszu N. XI, Fig. 48—52.



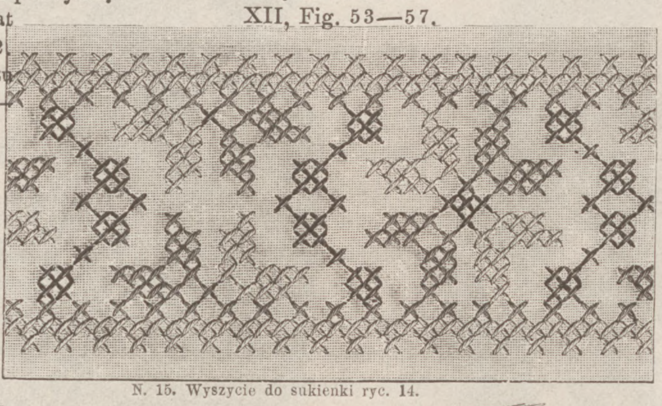
N. 10. Paletocik dla dziecka lat 1—2. Krój na arkuszu N. XII, Fig. 53—57.



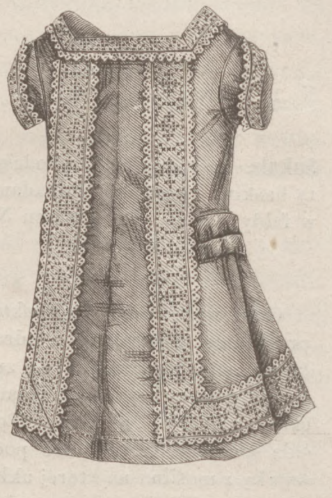
N. 48. Płaszczyk z pelerynką. Plecy do ryc. 11.



N. 13. Sukienka spodnia dla małych dzieci. Krój staniczka na arkuszu N. V, Fig. 20—21.



N. 15. Wyszycie do sukienki ryc. 14.



N. 14. Sukieneczka dla małego dziecka. Krój na arkuszu N. IV, Fig. 17—19.

N. 11—12. Płaszczyk z pelerynką dla dziewczynki lat 3—5. Krój w dodatku N. XI, Fig. 48—52.

Zapięty z przodu dwoma rzędami guzików, odszyty z błękitnego kaszmiru, zdobny jedwabnemi wypustkami i srebrnemi guziczkami. Płaszczyk taki na jesień może być odszyty z cienkiego sukienka lub z jakiegokolwiek materyału na flanelowej podszewce.

Formę podaje Fig. 48—52, długie plecy u dołu dopełnione są częścią fałdowaną 20 cent. długą a 114 szeroką. Mankiety na rękawach i pelerynka na sztywnym muślinie i podszewce, podszyta częścią spodnią odznaczoną liniją prostą na Fig. 51—52. Z wierzchu bocznego szwa wzdłuż od pachy przyszyta jest patka 28 cent. długa a 2 ½ szeroka, pod którą z każdego boku przewłóczy się szarfa 178 cent. długa a 19 szeroka.

N. 13. Sukieneczka spodnia z długim stanikiem. Krój na arkuszu N. V, Fig. 20—21.

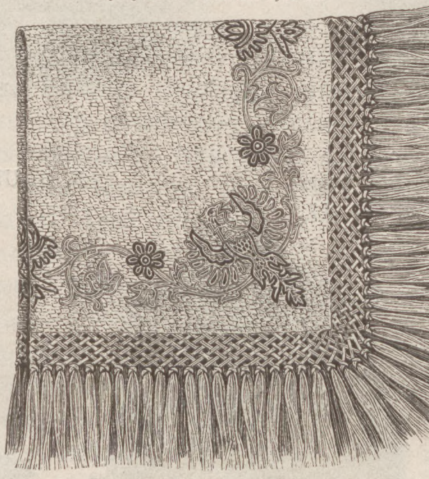
Może być odszyta z perkalu i służyć na spód, lub też starannie wykończona zastąpić może suknię przy długim, garnirowanym fartuszku. Do stanika zapinanego z tyłu przyszywa się marszczona spódniczka 142 cent. szeroka a 15 długa zastębnowana w zakładeczki, ozdobiona haftowaną wszywką i falbaneczką. Wykrój szyi i rękawki oszyte ząbkami.

N. 14—15 tudzież 38—39. Sukieneczka dla małego dziecka. Krój na arkuszu N. IV, Fig. 17—19.

Rycina 14 i 39 podają sukienkę z płótna écru, przybraną w dwojaki sposób; pierwszą zdobi szlak wyszyty ściegiem krzyżowym podług ryc. 15, na tle z białego płótna bawełną ponsową i szafirową. Druga sukienka z granatowego płótna (przedstawiona z przodu na ryc. 38 a z tyłu na ryc. 39), przybrana jest haftowaną wszywką i szerokiemi zębami. Plecy zapięte na guziki dopełnione są fałdowaniem 23 cent. długiem, a 86 cent. szerokim. Wykończenie sukienek łatwo dopełnić podług modeli załączonych na ryc. 14—15 i 38.



N. 16. Deseń rzuciku do haftu.



N. 18. Serweta. Patrz ryc. 19.



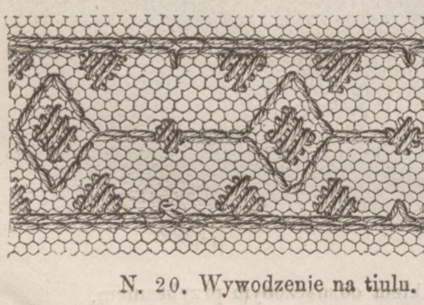
N. 17. Deseń rzuciku do haftu.

N. 16—17. Deseń rzuciku haftem płaskim, kolorowym jedwabiem.

N. 18—19. Serweta Haft na burecie. Deseń na arkuszu Fig. 63.

Materyał zwany *burett* wyrabiany nakształt płótna z grubych nici, tkany niesymetrycznie jak to widać z ryciny 19. Serweta którą opisujemy ma 100 cent. w kwadrat, licząc w tem 17 cent. wysiepanych brzegiem na frendzlę wiązaną. Ścieg użyty do wyszycia opisaliśmy w początkowych Nch tegorocznych i widać go dokładnie na wzorze; użyto do niego bawełny grubej (jaka używa się do znaczenia), w kolorze szafirowym i ponsowym tudzież białej bawełny. Fig. 63 z dodatku i ryc. 19 pasują się do siebie kładąc deseń gwiazdką do gwiazdki.

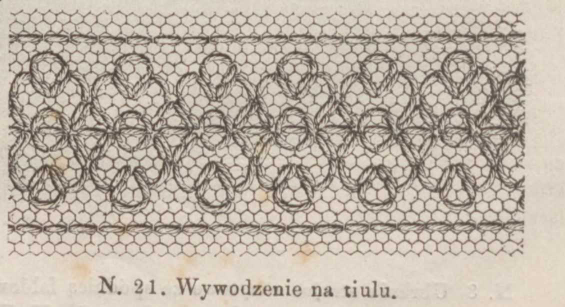
N. 20—21. Wszywki wywodzone na tiulu.



N. 20. Wywodzenie na tiulu.



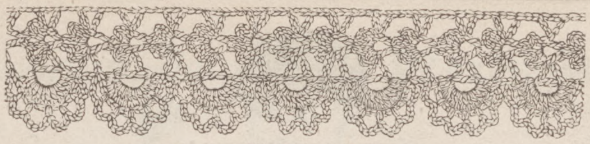
N. 19. Wyszycie do serwety ryc. 18.



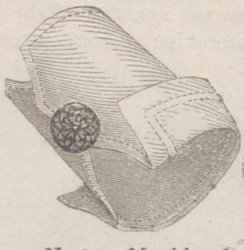
N. 21. Wywodzenie na tiulu.

N. 22. Ząbki szydełkowe.

Robią się poprzecznie zaczynając od 7 o. łań. potem 6 o. pow., 1 sł. w czwarte z siedmiu o. pow., 2 o. pow., 1 sł. w czwarte z o. pow., 3 o. pow., 1 sł. w pierwsze o. początkowe * 5 o. pow i odwróciwszy robotę 1 sł. zaczepiony w ostatni z robi nych sł., 3 o. pow., 1 o., śc. w o. między dwoma sł. i trzy razy zrobić po 4 o. pow. i 1 o. śc. w jedno o. pow., 3 o. pow., 1 sł. w czwarte z sześciu o. pow. Robota znów się odwraca i w dalszym rzędzie robić 6 o. pow., 2 sł. przedzielone 3 o. pow. a zaczepione w środkową z trzech pentelek, 3 o. pow. i 14 sł. zarzuconych w pentelkę z 5 o. pow. złączoną sł., które obrabia się pikotami podług ryc. 22. W dalszym ciągu roboty następuje 1 o. śc. w czwarte z o. pow, w które zaczepia się także 1 sł. i przy wykonaniu pierwszego zęba 2 o. pow., 1 o. śc. w o. pow. między dwoma sł. i trzy razy po 4 o. pow. i 1 o. śc. w o. pow., 3 o. pow. i 1 sł. w czwarte z 6 o. pow. Robota znów się odwraca i robi 6 o. pow., 2 sł. przedzielone 3 o. pow. w środkowe z trzech pentelek 3 o. pow., 1 sł. w czwarte z 6 pow. i powtarzać od *.



N. 22. Ząbki szydełkowe.



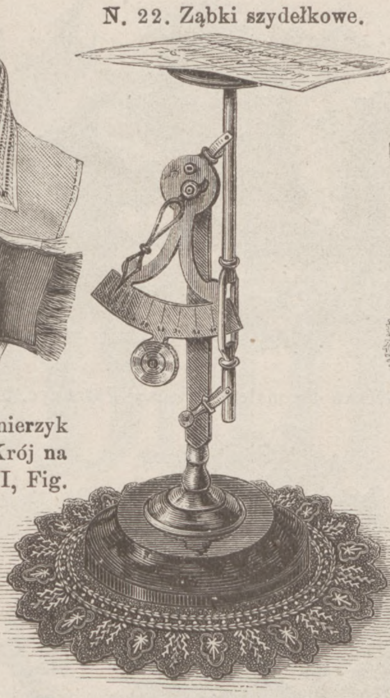
N. 24. Mankiet do ryc. 23. Krój na arkuszu N. VII, Fig. 23—25.



N. 27. Kokarda do sukni patrz ryc. 28 i 29.



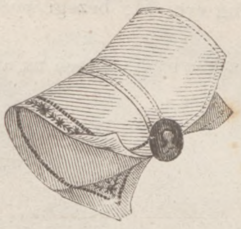
N. 23. Kołnierzyk wykładany. Krój na arkuszu N. VII, Fig. 23—25.



N. 30. Waga do listów. Patrz ryc. 31.



Kołnierzyk stojący. Patrz ryc. 8 i 35. Krój na arkuszu N. VII, Fig. 23—24



N. 26. Mankiet do ryc. 25. Krój na arkuszu Fig. 29—30.



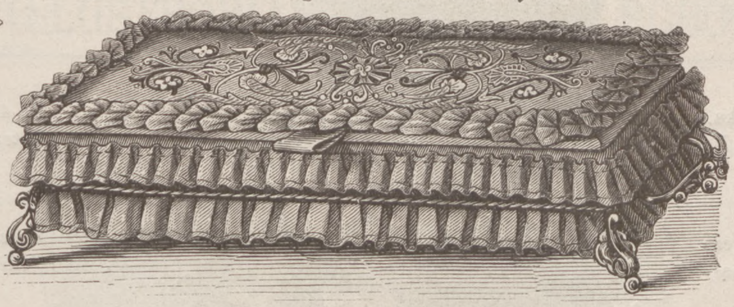
N. 28. Kokarda do sukni. Patrz ryc. 27 i 29.



N. 33. Ubranie ranne dla młodej panienki. Krój na arkuszu N. IX, Fig. 35—39-a.



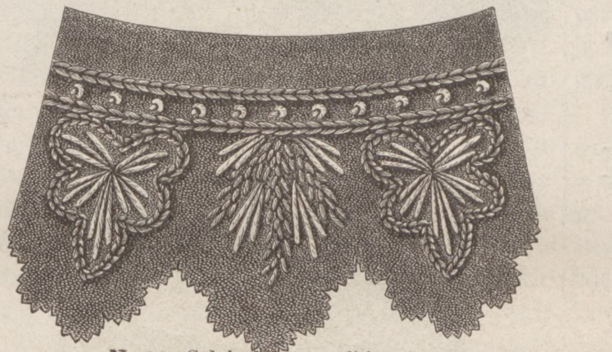
N. 29. Kokarda do sukni. Patrz ryc. 27 i 28.



N. 32. Kasetka na rękawiczki.



N. 34. Ubranie ranne dla młodej panienki. Patrz ryc. 33.



N. 31. Szlak do patarafki ryc. 30.



N. 35. Kaftanik skośno zapinany. Patrz ryc. 36. Krój na arkuszu N. I, Fig. 1—7.

N. 23—24. Kołnierzyk i mankiet Krój na arkuszu N. VII, Fig. 23-27.

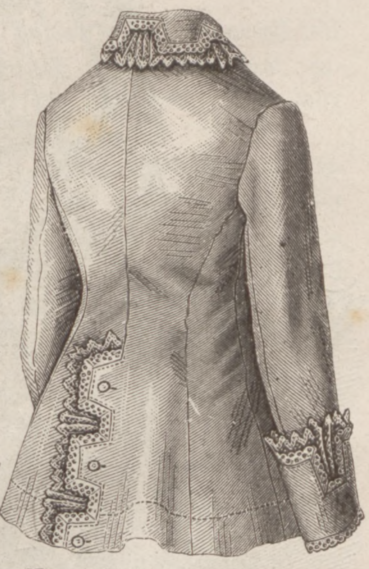
Ładny ale dość trudny fason kołnierzyka podaje Fig. 25 załączająca główną część kołnierzyka który dopełnia się 4 pliskami 1 cent. szerokiemi, łączonemi ściegiem krzyżowanym; w pliski wszyty jest sznureczek z jednego brzega. Ażeby szlak ten nie ściągnął się przy łączeniu kratką krzyżowaną najlepiej pliski przyfastrygować na ceracie już po wszyciu w nie sznureczka. Ranwers mankieta skrojony podług Fig. 27, ma tylko wstębnowany rząd sznureczka i wykłada się na wierzch rękawa od sukni. Krawatka z wstążki w dwóch kolorach.



N. 37. Malowanie na tafli szklannej.

N. 25—26 i ryc. 8 w N. 35. Kołnierzyk z kolorowym haftem i krawatka muślinowa. Krój i deseń Fig. 23—24 i 28, 30-a.

W N-rze 35 na ryc. 8 podaliśmy deseń szlaczku do kołnierzyka odrobionego kolorową, dobrą do prania bawełną; gwiazdkę nad narożnikiem, wskazaną na ryc. 25 załącza Fig. 30-a. Na krawatkę muślinową potrzeba dwóch skośnych kawałków muślinu złożonych w plisowane fałdki, po 22 cent. szerokich; spodni koniec jest 14 i 6 cent., zwierzchnim 10 i 3 cent. długi; brzegi mają oszyte koronką 2 cent. szeroką. Pukiel zszyte z wstawki i koronki ma 10 cent. długości a 9 szerokości i zszywa się z końcami pod węzłem muślinowym.



N. 36. Kaftanik ranny skośno zapięty. Patrz ryc. 35.

N. 27—29. Kokardy do sukni.

Ułożone z wstążki 12, 6, i 4 cent. szerokiej z kolorową podszewką lub z materyi faille w dwóch kolorach, mają węzły wiązane w ten sposób iż oba kolory są widoczne.

N. 30—31. Przyrząd do ważenia listów i patarafka.

Przyrząd taki kupuje się gotowy i może stano

wić praktyczny podarunek na biurko tworząc zarazem przycisk do papierów. Patarafka na której stoi, haftowana jest na suknie, aksamicie, kaszmirze lub skórze, kolorowym kordonkiem, ściegiem łańcuszkowym, ciernio- wym i luźnym podług ryc. 31; brzegi wycięte są w ząbki.

N. 32. Kasetka na rękawiczki. Deseń na arkuszu Fig. 33.

Długość kasetki wynosi 34, szerokość 11, wysokość 6 cent.; można kupić ją u introligatora lub własnoręcznie ukleić z tektury. Spód i boki wewnątrz powleczone są warstwą pachnącej waty i pokryte białym atłasem. Zwierzchnie pokrycie stanowi błękitny atłas również watą podesłany. Haft robiony filozelą do cieniu w kolorze różowym, zielonym i drzewnym; czwartą część deseniu załącza w naturalnej wielkości Fig. 33. Na riuszę użyta wstążka [illegible] cent. szeroka. Nóżki i antaby z bronzu.



N. 39. Sukieneczka dla małego dziecka. Patrz ryc. 38 i 14. Krój na arkuszu N. IV, Fig. 17—10.



N. 38. Sukieneczka dla małego dziecka. Patrz ryc. 39 i 14.

N. 33—34. Ubranie ranne dla młodej panienki. Krój na arkuszu N. IX, Fig. 35—39-a.

Szlafroczek ten kraje się podług Fig. 35—36 dodając długość i szerokość podług miar wypisanych na zmniejszonym formacie Fig. 35-a—39-a. Pdszewkę odpowiednio do materyału z jakiego jest szyty daje się w całej długości lub tylko na długość stanika z baskiną. Materyał zwierzchni w pleckach zastębnowany jest w ten sposób iż naśladuje krój złożony z kilku części; miejsca szwów oznaczone są gładkiemi liniami. Kołnierz mankiety i kieszonki poddają się muślinem; skromne przybranie daje się podług ryc. 33 i 34.



N. 41. Kapelusz z rondem dyademowem.



N. 44. Książeczka do biletów wizytowych.

N. 35—36. Kaftanik ranny skośno zapinany. Krój na arkuszu N. I, Fig. 1—7-a.

Brzeg zwierzchniej połowy przodów skośnie zapinanych, wycięty w zęby odznaczony jest linią kropkowaną na Fig. 1 połowa spodnia oznaczona linią prostą, a sam środek linią przerywaną. Jak to widać na zmniejszonym formacie brzeg spodniego przodu wysunięty jest po za linią oznaczającą środek na 1 cent. u góry a na 7 cent. u dołu. Wycięcie zębów powtarza u dołu pleców jak na ryc. 36, przy kołnierzu, rękawach i kieszeniach jak na ryc. 35. Zęby te podszywają się skosem 6 cent. szerokim; koronka 6 cent. szeroka zakładana w fałdy w zagłębieniach zębów, oszytych brzeżkiem haftowanym wygląda bardzo efektownie.



N. 40. Sukieneczka dla dziecka do lat 2. Patrz ryc. 10. Krój na arkuszu N. XII, Fig. 55—57.

N. 37. Tafla malowana szklanna.

Odsyłamy czytelniczki do szczegółowych opisów malowania na szkle jakie od lat paru podawaliśmy w Tygodniku a dziś załączamy tylko nowy, bardzo piękny deseń. Tafla ta podana w połowie wielkości może być odpowiednią do kasetki na rękawiczki jaką odaje ryc. 32.

(Dokończenie nastąpi).



N. 42. Stanik z baskiną podciętą z boków. Patrz ryc. 43. Krój na arkuszu N. II, Fig. 8—12.



N. 43. Stanik z baskiną podciętą z boków. Patrz ryc. 42.